3

MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK V. Nr 8 (47) WARSZAWA, 21 LISTOPADA 1925 R. CENA NUMERU 80 gr.

NIEDOCENIANIE WŁASNYCH WARTOŚCI

LUDZIE przodujący społeczeństwu pozwalają sobie na takie obyczaje, że nieraz człowiek pyta: jak się to nie wstydzi ludu, który przecież dzisiaj wiele widzi? Lud bowiem poważnie traktuje życie, atmosfera moralna wsi jest czystsza, niż miejska. Porównajmy prasę ludową i uliczną. Chłop sromałby się czytać obrzydliwości, któremi karmi się mieszczuch. Myliłby się, ktoby sądził, że gazetka, wydawana dla ludu, dlatego tylko jest poważna, że redaktor jest poważny. Nie, one są dla tego poważne, że innych lud nie będzie czytał. W Kongresówce, gdzie warunki nie pozwoliły dotąd tak zepsuć ludu, jak go zepsuła Austrja w Galicji, redaktorzy, którzy z ludem rozmawiają od tylu lat w „Gazecie Świątecznej" i „Zorzy", cieszyli się zawsze opinją kapłańską. Nawet demagodzy galicyjscy (jak Stapiński), myląc ludowi drogi polityczne, nie postępowali z czytelnikami nigdy tak bezceremonjalnie, jak spekulanci prasowi w mieście.

Lud ma swoje potrzeby duchowe, których nie puszcza na błazeństwo i szuka w gazecie pokarmu. Trudno sobie wyobrazić sytuację, w jakiejby się znalazł przeciętny wesołek z prasy miejskiej, gdyby mu wypadło karmić duchowo lud z okolic podlaskich, lub Wrześni. Lud ten poważnie traktuje nie tylko życie powszednie, ale — jak wiemy — potrafi być bohaterem, gdy broni praw swego ducha.

W Białej Podlaskiej, pamiętnej walką o naukę religji w języku polskim (r. 1902), wychodzi pisemko dla ludu „Podlasiak". Czytając je, czuję się uszlachetniony dobrem towarzystwem. Tam jeszcze ludzi interesują idee, o dobru publicznem mówi się z powagą i dobrym polskim językiem, tam myśl pracuje nad wytworzeniem jakiej takiej świadomości historycznej, społecznej i moralnej. Dobór tematów i poziom zainteresowań jest tak wysoki, że czytelnicy brukowej prasy nie umieliby o tem rozmawiać.

Czytam w tem pisemku wzruszającą historję, na podstawie listów ułożoną, żołnierza Jana Sochy, który w czasie wojny, będąc emigrantem zarobkowym, przybył do Paryża, aby się dostać do wojska polskiego. Autorka (pani Ungauerowa) robi nawiasem taką uwagę:

„Chłop nasz nie jest prostakiem. Jestto wcielenie ewangielicznej prostoty, a zatem arystokrata ducha, w najlepszym tego słowa znaczeniu, rodzaj króla-Piasta, strąconego z tronu i dźwigającego się uparcie, aby ten tron odzyskać, w przeciwstawieniu do naiwnego barbarzyństwa klas wyższych, u których często samolubstwo, chciwość zysku, próżność i próżniactwo przeszły w zasadę, a pełne pychy prostactwo wyrugowało pierwotną, opartą na pokorze ewangielicznej, — prostotę".

Trzeba jechać do Białej, aby módz porozmawiać poza polityką o rzeczach tyczących narodu. W prasie warszawskiej nie spotykam tych tematów, a w czasach, które atakują naszą samowiedzę, abyśmy sobie zdali sprawę z tego, kim jesteśmy i do czego zdolni, potrzeba się zastanowić poważnie nad sprawą psychologji narodowej.

Nie można teraz, gdy zdajemy egzamin z poczucia rzeczywistości, odurzać się samouwielbieniem, jak to robił w czasie wojny ś. p. Antoni Chołoniewski, który w książce „Duch Narodu" zebrał z dziejów wszystkie kwiaty, aby narodowi umaić drogę krzyżową wojny. Kim my naprawdę jesteśmy, raczej — być możemy, gdy zechcemy? Na co stać naszą naturę? Czy naprawdę jesteśmy narodem wybranym, czy też, jak na codzień się tetryczy, kaleką ludów?

Zbiegiem okoliczności w tem samem „Podlasiaku" w numerze ostatnim spotykam na czele artykuł: „Charakter narodowy Anglików, Niemców i Czechów". Charakter Polaków autor określa w sposób dobrze znany w literaturze, mianowicie:

„My Polacy odznaczamy się rycerskością, patrjotyzmem, gościnnością i łagodnością. Posiadamy poczucie wolności osobistej i wolności innych narodów. Zdolniejsi jesteśmy do bohaterstwa, niż wytrwałej pracy. Odznaczamy się zapałem słomianym, kłótliwością, brakiem silnej

woli, pieniactwem, partyjnością, brakiem poszanowania praw i władzy, brakiem punktualności, obowiązkowości i systematyczności, szacunkiem większym dla dam, niż inne narody. Cechuje nas lekkomyślność, dzielność, lecz nie roztropność, wytrwałość fizyczna — lecz nie hart ducha, przesada w uczuciowości, brak solidarności i przezorności".

Mam wrażenie, żeśmy za mało zastanawiali się nad sobą. Są charakterystyki krótsze, bardziej kategoryczne w swoim pesymiźmie. Słowacki powiedział, że pawiem jesteśmy i papugą narodów. Rzecz interesująca, że inteligencja polska lubi myśleć źle o Polakach, jako ludziach niezdolnych do niczego, kiedy konieczność naciska ją, żeby coś robiła, więc teraz kiedy jest wolność, zabezpiecza się od wysiłku wymówką, że jest inwalidą, W czasach niewoli, gdy okoliczności zewnętrzne usprawiedliwiały nieczynność, rosła fanfaronada.

Jakże jest w istocie? Czy moglibyśmy istnieć dotąd jako naród, który bądź co bądź w krótkim czasie (od tysiąca lat) czegoś się dorobił, gdybyśmy rzeczywiście tylko pawiem byli i papugą narodów? Mojem zdaniem ta wielka rozbieżność w sądach o sobie pochodzi stąd, że nie mamy ustalonego przedmiotu oceny. Kto to są owi My w zdaniu: jesteśmy tacy lub owacy? To, co pisałem w poprzednim zeszycie „Myśli" o braku wyobraźni twórczej, tutaj właśnie — w stosunku do przedmiotu tworzącego — ma swoje zastosowanie. Nie zdołaliśmy dotąd poddać rewizji swoich dawnych sądów o narodzie z czasów, gdy „My" oznaczało tylko jedną warstwę, szlachtę, uważającą się za naród. Inteligencja nowoczesna przejęła całą schedę po tej klasie wraz z obyczajami i pojęciami zdawkowemi. I to jest brak kultury, elementarny brak. Gdybyśmy umieli łapać się na gorącym uczynku w myśleniu, tobyśmy spostrzegli, że mówiąc o narodzie, mamy na myśli klasę oświeconą z przyległościami. Nie daleko to leży w poziomie kultury od takich uroszczeń społecznych, jak poddane przez demagogów: „my robotnicy — to naród", „my chłopi — to naród" i t. p. Myśl społeczna, na tej stopie żyjąc, nie potrafi ruszyć dziejów z miejsca.

O tem, żeby lud brał udział w dziejach narodu, nie tyle decyduje radykalna ordynacja wyborcza do ciał prawodawczych, ile wysoka kultura samowiedzy narodowej, która umie cenić rolę instynktów w dziejach, a te lud reprezentuje. Coby warte były nasze dzieje bez tego kapitału żelaznego, któremu siłę zawdzięczały i duch i ramię narodu? Prawdę tego faktu pozwoliły nam zrozumieć nowożytne stosunki demokratyczne, ale one w niczem nie zmieniły istoty narodu, którego główną siłą był, jest i będzie sam fakt istnienia ludu, jako siły etnicznej, jako związania naszej myśli narodowej z ziemią.

Źle jest, że nauka polska nie postępuje dość chyżo za rozwojem stosunków faktycznych w społeczeństwie. Szkoła powinna była do tej pory przysposobić już umysłowość sfer oświeconych do operowania pojęciem narodu według najnowszych zdobyczy wiedzy o narodzie i cywilizacji. Nauka polska nie rozporządza dotąd materjałem do charakterystyki typu duchowego Polaka. Można jednak bez obawy popełniania błędu orzec, że popularny konterfekt Polaka, w rodzaju przytoczonej wyżej charakterystyki, jest ułamkowy: jest to zwierciadełko szlachcica i jego potomstwa, które jeszcze nie nauczyło się pracy. Nie można mówić o przeciętnej, gdy się nie uwzględnia dwu trzecich ogółu.

Jeśli się ma na myśli zdatność typu do życia nowoczesnego, to za miarę jego trzeba brać jego zdatność do pracy. Na tym poziomie trzeba Polaków ustawić, ale wszystkich i wtedy sprawdzić, czy istotnie Polak przeciętny, niezdolny jest do wytrwałej pracy, czy brak mu silnej woli, czy zapał jego jest słomiany, a główną cechą lekkomyślność i brak solidarności.

To, co wiemy o swoim narodzie, zawdzięczamy przeważnie poetom i powieściopisarzom. Pierwsi wytknęl nam drogi penetrowania duszy narodowej na użytek samowiedzy polskiej, drudzy (od czasu pozytywizmu) doszli do dużych wyników przez studja nad ludem. Wyniki te nie potwierdzają owej popularnej, a tak pesymistycznej oceny typu polskiego. Polak nie jest kaleką, nie jest ani pawiem, ani papugą. Tę ujemną charakterystykę można stosować do wietrzejących moralnie sfer górnych, które tracąc pod nogami grunt pracy, a demoralizując się przywilejem, traciły możność poważnego, odpowiedzialnego traktowania życia.

Mówi się tyle o budowie Polski, przyczem wyobrażamy sobie, że jest to wyłącznie jakaś robota zewnętrzna: budowa fabryk, dróg, pałaców, instytucji, przepisów i t. p. Przedewszystkiem jest do zbudowania — Polak, ten Polak, co iść chce na przedzie cywilizacji polskiej, a zapomina, skąd jego ród, nie czuje koło siebie pełni narodu i nie wie, dla kogo pracuje. Naród nie może zawierzać spokojnie swych losów inteligencji z tak słabą świadomością dziejową. Żyje też on siłą zdrowych instynktów, w znacznej mierze bez pomocy inteligencji. W życiu polskiem jest lepiej, niż sobie w stolicy wyobrażamy: Polak jest lepszy, niż my go tutaj widzimy.

To życie trzeba wzmagać przez dopasowanie inteligencji do jego zadań. A zrobić to można tylko przez umiejętne wychowanie nowych pokoleń. Wychowanie ducha narodowego — oto najtrudniejsza część budowy.

Z. WASILEWSKI

GRECY — PIERWSI ARJOWIE W DZIEJACH EUROPY

ARJOWIE, bez względu na to, czy byli wysocy, czy średniego wzrostu, czy byli blondynami, czy brunetami, czy też mieli włosy różnej barwy, czy mieli głowy długie, czy okrągłe—byli ludami nie bylejakiemi: odegrali wielką rolę w historji i w charakterze zdobywców zaszczepili swoje języki na rozległej połaci ziemi. „Paleontologja lingwistyczna" wytworzyła o nich pojęcia tak przesadne, tak wypoetyzowała ich byt pierwotny, że realniejszym umysłom trudno było uwierzyć w istnienie podobnych nadludzi we względnie pierwotnych warunkach bytu.

Do przesadnego pojęcia o genjuszu Arjów przyczyniło się przekonanie, że cywilizacje grecka i rzymską,

które tak nagle i tak świetnie rozkwitły, które o tyle wyższemi się okazały od starych cywilizacyj nad Nilem i Eufratem — były dziełem kilkunastu pokoleń Greków i Rzymian. Gdyby tak było istotnie, tym dwu ludom aryjskim, które najwcześniej się zjawiły w historji Europy, należałoby przypisać jakiś wprost niepojęty genjusz.

Badania ostatnich dziesięcioleci wykazały jednak, że ani Grecy, ani Rzymianie nie byli twórcami z niczego swych wielkich cywilizacyj. Grecy, przybywszy do kraju, który później Grecją się nazywał, zastali zarówno na lądzie stałym, jak na wyspach, starą i wielką cywilizację, którą zniszczyli i na której miejscu zbudowali gmach swojej, niewątpliwie w ogromnej mierze z materjału, który po tamtej pozostał. Początki Rzymu były zorganizowane przez Etrusków, lud, który na długo przed temi początkami miał nad morzem Tyreńskiem swe wysoce cywilizowane państwo i z etruskiej cywilizacji Rzym długo czerpał. Sama nazwa Rzymu jest, jak się okazuje, pochodzenia etruskiego. Ani mieszkańcy wysp i wybrzeży morza Egejskiego przed przyjściem Greków, ani Etruskowie nie byli Aryjczykami, nie mówili językami aryjskiemi. To jest jasne nawet z tych ubogich śladów ich języków, jakie pozostały. Inne ludy aryjskie, które się jednocześnie bodaj z Grekami i szczepami italskiemi zjawiły w dziejach Europy, jak Celtowie, wykazały wielką ruchliwość i waleczność, ale, nie natrafiwszy na cywilizowane podłoże, nie stworzyły nic szczególnego ani pod względem cywilizacyjnym, ani politycznym.

O cywilizacji przedgreckiej, egejskiej, jak ją nazywają ogólnie, minoańskiej, jak ją nazywa główny jej badacz dzisiejszy, Evans (wyprowadza on tę nazwę od pozostałego w tradycji greckiej kreteńskiego Minosa; wyraz ten bodaj nie był imieniem własnem, ale tytułem panujących, jak np. faraon), dają nam pojęcie bardzo bogate wykopaliska na Krecie, na innych wyspach, na Peloponezie i w Grecji środkowej. Dokumenty pisane tej cywilizacji bądź zginęły bezpowrotnie, pisano tam bowiem, jak się zdaje, na jakimś papierze roślinnym, który się nie dochował; bądź pozostały dotychczas nieodczytanemi na licznych tabliczkach glinianych, które dziś z ziemi wydobyto. Wiadomo jednak, że istniały tam dwa pisma: jedno hieroglificzne, jak egipskie, drugie fonetyczne, jak nasze. Pomimo braku dokumentów pisanych, odkopane w ciągu ostatnich lat dwudziestu kilku pałace, grobowce, broń, narzędzia, sprzęty, klejnoty, pieczęcie, niesłychanie liczne i piękne naczynia ceramiczne i kamienne, wreszcie freski na ścianach pałaców i grobowców dają wcale pełny obraz tej cywilizacji i pozwalają nawet nieco wniknąć w jej dzieje. Zestawienie też tych wykopalisk z danemi archeologji egipskiej pozwala na przybliżone ustalenie pewnych dat.

Początki tej cywilizacji obliczane są mniej więcej na trzy tysiące lat przed Chrystusem; są one równoczesne ze zjawieniem się na wyspach miedzi, po której wkrótce ukazuje się bronz. Obejmuje ona cały okres bronzowy— z ukazaniem się żelaza*) następuje jej upadek. Ślady jej kończą się na r. 1.200 przed Chr., która to data oznacza najazd Doryjczyków na późniejszą Grecję i na wyspy.

Nie mamy tu miejsca na zobrazowanie tej cywilizacji, ani na streszczanie dzisiejszych poglądów na jej dzieje. Poglądy te niezawodnie, ze zjawieniem się nowych danych, ulegną w przyszłości znacznym zmianom. Miała ona, jak się okazuje, swe przypływy i odpływy, przerywane katastrofami. Po dwukrotnym bujnym jej rozkwicie na Krecie, gdzie głównem jej ogniskiem był Knossos (2.000—1.750 i 1.700—1.400 przed Chr.), środek jej ciężkości przeniósł się na Peloponez (Myceny, Tyrynt). Badacze jej wiążą to z najazdem pierwszych aryjczyków greckich, Achajów, na Grecję kontynentalną (po r. 2.000 przed Chr.), gdzie ich miejscowa cywilizacja zasymilowała i gdzie pod ich władzą otworzył się z czasem nowy jej okres, gdy Kreta uległa nowej katastofie, według przeważającej opinji najazdowi tychże Achajów. Koniec jej przyniósł najazd nowych Greków, barbarzyńskich Doryjczyków, którzy w swym pochodzie przez Grecję niszczyli wszystko na drodze i którzy Krecie zadali cios tak straszny,że się już nigdy nie podźwignęła.

Była to cywilizacja przemysłowa, celująca w niektórych wyrobach (w szczególności ceramika i wyroby z bronzu), a przedewszystkiem kupiecka, morska. Egejczycy byli pierwszymi wielkimi żeglarzami na Morzu Śródziemnem (późniejsi Fenicjanie już poszli tylko w ich ślady). Położenie Krety między Peloponezem, Azją Mniejszą, Egiptem a krajami zachodniego Morza Śródziemnego dawało jej wyjątkowo korzystne warunki handlowe. Dawało ono bogactwo przy dużem bezpieczeństwie, położenie bowiem na wyspie, wobec faktu, że Kreteńczycy byli jedynymi wówczas wielkimi żeglarzami, zabezpieczało od najazdu. Stąd rozkwit cywilizacji, która wyrafinowaniem i komfortem przewyższała bodaj wszystkie współczesne. Dość powiedzieć, że w pałacach Krety znaleziono kanalizację z przewodami, doprowadzonemi do górnych pięter, sale kąpielowe z wannami i miejsca ustępowe (na piętrach). A nasza współczesna cywilizacja tak późno do tego doszła!...

Kto wie, czy się przy dalszych badaniach nie okaże, iż przeniknięcie Aryjczyków greckiej mowy do sfery tej cywilizacji nie odbyło się w postaci parokrotnych, licznych najazdów i szeroko zagarniających podbojów. W tradycji Greków, którzy mieli tak wielki talent epiczny, nie zachowało się żadne wspomnienie wielkich czynów na tem polu, gdy upamiętniła ona w „Iljadzie" tak drobny stosunkowo fakt, jak wojna trojańska. Może być, że to zhellnizowanie sfery cywilizacji egejskiej, przy zniszczeniu samej cywilizacji odbyło się na cokolwiek innej drodze.

Głównem niebezpieczeństwem, jakie mogło grozić takiej nadmorskiej cywilizacji, była piraterja. Od niej się zaczynała żegluga i karjera ludów morskich aż do czasów nowożytnych. Niezawodnie od niej zaczynali i Kreteńczycy, dopóki szeroki handel nie nakazał im z piratami walczyć. Żywa pamięć o szeroko rozwiniętem korsarstwie na Morzu Egejskiem zachowała się w tradycji greckiej, mówią o niem historycy greccy, gdy sięgają myślą w dawniejsze czasy, ma ona swoje miejsce w eposie (Odyssea), a Minos zachował się w tradycji, jako pogromca piratów. Szczepy greckie, jak wszędzie barbarzyńscy najeźdźcy, ciągnięte były w sferę cywilizacji egejskiej przez jej bogactwa. Prawdopodobnie niezbyt silne liczbą, może nie były one zdolne do wielkich podbojów, ale osiadając w tym lub innym punkcie nad morzem, zapoznając się z niem (wyraz thalassa, oznaczający morze, Grecy wzięli od Egejczyków), wytworzyć mogli stopniowo tak liczne korsarstwo, że thalassokracja kreteńska niezawsze umiała z niem sobie radzić. Mogło istnieć wiele miast na wybrzeżach Morza Egejskiego, które nigdy nie zostały przez Greków podbite, które pozostały egejskiemi aż do historycznych czasów, tylko ludność ich przy rozrastającej się coraz bardziej piraterji, przy upadku handlu, sama zamieniała się z kupców, rzemieślników i artystów w piratów, stopniowo dziczała, a w tym całym chaosie, w tej anarchji cywilizacja egejska szybko zamarła. Później, gdy szczepy greckie, cywilizując się stopniowo w tym świecie, wystąpiły, jako jego organizatorowie, poszczególne państewka

*) Mowa o żelazie, jako o metalu użytkowym, rozpoczynającym epokę żelazną. Przedtem było ono znane, ale w tak małych ilościach, że używano go tylko do ozdób.

egiejskie hellenizowały się pod ich wpływem. Są dane, że ta hellenizacja nie była jeszcze zakończona w pierwszych stuleciach dziejów klasycznej Grecji, że język grecki wówczas niewszędzie jeszcze panował. Obok Hellenów byli jeszcze, jak ich Grecy nazywali, Pelargowie.

Badania nad religją Greków coraz wyraźniej prowadzą do wniosku, że Grecy ją wzięli od swych poprzedników egejskich [1]), jak Rzymianie brali swych bogów z początku od Etrusków, a potem od Greków. Być bardzo może, że Arjowie helleńscy i italscy, dopóki się nie zetknęli z wysokiemi względnie cywilizacjami, nie posiadali żadnej mitologji, jak nie posiadali jej i nasi praojcowie; przynajmniej, pomimo usilnych starań, nie możemy się nic pewnego w tym względzie u siebie doszukać. Być bardzo może, iż jedyną religją i tych, i tamtych był kult przodków, który Fustel de Coulanges wziął swego czasu za punkt wyjścia do religji Greków i Rzymian w swej *La Cité antique*. Odkrycie świata egejskiego wielkie musi zmiany wprowadzić do dotychczasowego pojmowania Grecji. Fakty z przedhelleńskiej przeszłości Grecji zmodyfikują w niejednem poglądy dotychczasowych hellenistów, badaczów greckich starożytności, religji i t. d., którzy tyle świetnych kart zapisali w nauce i z pośród których bardzo wybitnego mamy na katedrze w Warszawie, w osobie prof. T. Zielińskiego. I na jego pismach znać, że należy do ubiegłej doby.

W świetle nowych odkryć Grecy i Rzymianie inaczej wyglądają, niż dawniej, wyglądają realniej, zgodniej z tem,co jesteśmy sobie zdolni wyobrazić o ludach na pierwotniejszych szczeblach rozwoju. W tem świetle cywilizacja grecka i rzymska nie jest wytworem ducha wyłącznie aryjskiego. Wyrosła ona ze zlania się dwóch pierwiastków: przybyszów aryjskich i miejscowego żywiołu południowo-europejskiego. Zamało upłynęło czasu od tych odkryć, ażeby można było dziś ściśle określić, co każdy z tych żywiołów wniósł do wspólnego dzieła.

[1]) M. P. Nilsson. A History of Greek Religion Londyn, 1925.

O rodzicach cywilizacji, która nas wychowała, cywilizacji grecko-rzymskiej, wiemy dziś o wiele więcej, niż wiedziały poprzednie pokolenia; ale wiedza nasza przedstawia duże luki. O jednych, o ludach świata egiejskiego i pierwotnej Italji, wiemy, że przedstawiali naogół typ rasowy śródziemnomorski, typ ciemnowłosy, długogłowy, niskiego wzrostu, ten sam, który i dziś przeważa w południowej Europie. Zdaje się, że włączyć tu należy i Etrusków, co do których pozostała u pisarzy greckich tradycja, że przybyli do Italji z brzegów Azji Mniejszej (zresztą Etruskowie, zdaje się, byli tylko wierzchnią warstwą panującą w swojem państwie).Natomiast języków tych ludów nie znamy, wiemy tylko, że nie były to języki aryjskie. O drugich, o Grekach i Latynach, wiemy, że mówili językami aryjskiemi, języki te dobrze znamy z okresu późniejszego, z którego pozostały ich pomniki pisane, ale o tem, jaki typ rasowy przedstawiali w dobie, kiedy się zjawili na Peloponezie i w Italji, żadnych ściślejszych wiadomości nie posiadamy. O tem, że byli między niemi jasnowłosi, świadczy epitet „xantos“ niektórych bohaterów „Iljady“; znaczne zaś zwiększenie się odsetka okrągłych czaszek w wykopaliskach po zburzeniu Knossos przez najeźdźców zdawałoby się przemawiać za tem, że byli raczej krótkogłowymi, że więc nie przedstawiali typu północno-europejskiego. Od przyszłych badań musimy oczekiwać, że nam powiedzą więcej zarówno o typie rasowym przybyszów aryjskich, jak o językach autochtonów wysp i wybrzeży morza Śródziemnego.

POMORSKI

Errata. W artykule tegoż autora w Nr. 5 „Myśli Narodowej“ p. t. „Zagadnienie aryjskie“ na str. 67 znalazły się następujące błędy drukarskie: W wierszu 12 szpalty 1 powinno być de Saussure (a nie Saussoure), w szp. 2 wiersz 11 zamiast Peszka winno być Penka, w wierszu 15 z dołu powinno być Herrenvolk (wydr. Herrevolk), a w następnym wierszu zamiast w Niemczech powinno być w Niemcach.

WYCHOWANIE WOJSKOWE ZA CZASÓW KOMISJI EDUKACJI NARODOWEJ

(Dokończenie)

II.

ZAJRZYJMY z kolei do oficjalnych druków Komisji Edukacyjnej Narodowej i starajmy się stwierdzić, co z omówionych przez nas rad i wskazówek weszło w skład urzędowych jej rozporządzeń. W *Przepisie do szkół parafjalnych*, ułożonym w r. 1774 przez I. Massalskiego, mówi komisja ogólnie o obowiązku „uformowania ludzi zdrowych, silnych i *mężnych*“, a nadto nakazuje tępić zniewieściałość u dzieci. Następne zalecenie brzmi: „szczególne ma być rządców staranie, aby obywatele mieli dusze dobre, w ciałach zdrowych i mężnych“. Jak widzimy, poszła komisja w *Przepisie* raczej za poglądami Popławskiego, który nie niepozwalał wprowadzać do szkół elementarnych edukacji wojskowej, nakazała jednak wychowywać ludzi mężnych, pozostawiając szczegóły tego wychowania nauczycielom. Szczupłe i lakoniczne przepisy Massalskiego dla szkół parafjalnych rozwinął w sposób znakomity w dziele *Powinności nauczyciela* (R. 1787) ks. Grzegorz Piramowicz, najwybitniejszy bezsprzecznie pedagog polski XVIII w. i główny pracownik w K. E. N. Radzi sekretarz Tow. do ksiąg elementarnych, aby dzieci przebywały stale na świeżem powietrzu i uczyły się jeździć oklep na koniu.

Dalej pisze Piramowicz: „obroty żołnierskie, naśladując ich musztry, marsze i tym podobne, mocnymi, szykownymi i zdatnymi do potrzebnej w czasie usługi kraju uczynią...“ Duży nacisk kładła tedy K. E. N. na edukację wojskową w szkołach początkowych w późniejszym okresie swej działalności. Niemniej gorąco zajęła się Kom. Eduk. sprawą przysposobienia wojskowego młodzieży w głównem swem dziele *Ustawy Komisji Edukacji Narodowej*, które są najpełniejszym kodeksem ówczesnych praw szkolnych, dziełem zbiorowem, zredagowanem ostatecznie przez księdza Grzegorza Piramowicza.

Ostatni rozdział *Ustaw* poświęcony jest w całości edukacji fizycznej. Ćwiczenia wojskowe mają być obowiązkowym przedmiotem, wypełniającym czas, poświęcony rekreacjom. Stosować należy takie ćwiczenia i gry, które „do mocy, szykowności, zręczności i szybkości ciała do męstwa i odwagi pomagają“. Nadto „za godne szlacheckiej młodzi poczytać się powinny ćwiczenia takowe, które obrotów żołnierskich w ciągnieniu, szykowaniu, dobywaniu i obronieniu jakiego miejsca naśladują, nic bardziej do wpajenia męstwa, mocy duszy, szlachetnej wielkomyślności i ducha starodawnego rycerstwa nie pomoże, jako takowa młodzi zaprawa“.

Z dumą mówił o tych przepisach, cytując je niemal dosłownie, główny twórca *Ustaw* ks. Grz. Piramowicz w r. 1782, w dzień rocznicy otwarcia T-wa do Ksiąg Elementarnych na sesji dn. 7 marca wobec króla Stan. Augusta i in. Podnosił z zadowoleniem, że komisja zaleciła „wmawiać w dzieci wstręt wszelkiej miękkości, zniewieściałej delikatności i bojaźni". W tym świetnym komentarzu do Ustaw wskazał też Piramowicz na główny cel edukacji fizycznej—potęgę Polski. Twierdził słusznie, że „ten kraj potężniejszym być musi, który siłą i czerstwością każdego z osobna obywatela drugi naród przewyższa".

Pamiętnym czynem Kom. Eduk. jest też *List okólny do zgromadzeń szkolnych*, wydany 7 lipca 1783 r., a podpisany przez Michała ks. Poniatowskiego, ówczesnego prezydującego w Komisji. List ten nakazywał obchodzić niezwykle uroczyście w dn. 12 paźdź. (po ferjach letnich) stuletnią rocznicę zwycięstwa Jana III pod Wiedniem „nad mocą otomańską". Tembardziej zachęca ks. biskup płocki do uczczenia rocznicy wiktorji wiedeńskiej „im mocniejsze w niej do podniesienia nas do podobnej chwały zasilenie znaleźć możemy". Daje ks. biskup obszerną dyspozycję przemówień okolicznościowych, które mają być w dniu tym wygłoszone. Podkreśla wszystkie momenty z życia Sobieskiego, które świadczyły o jego męstwie i waleczności. Nie o zawadjacką odwagę mu chodzi. „Czczy punkt honoru, którym się przez słowny nałóg chełpić zwykliśmy, jest to para, ćmiąca prawdziwe męstwo". Narzeka dalej ks. biskup na zanik męstwa w młodzieży, swawolę, niekarność, płochość, mody rozmaite i chce je wyplenić. List okólny—to ciekawy przyczynek do wzrastającego w XVIII w. w Polsce kultu wojowników*). Usiłowano bronić się w ten sposób przed nacierającym zewsząd pacyfizmem, który państwa ościenne eksportowały do Polski, zbrojąc się nieustannie u siebie. Jest też *List okólny* dowodem doceniania w całej pełni przez Kom. Eduk. sprawy wychowania wojskowego i jeszcze raz potwierdza sąd nasz o K. E. N., jako wszechstronnie mądrej magistraturze, która umiała ująć całokształt naszego wychowania i wprząc w służbę dla dobra państwa i narodu.

A teraz pytamy: jak szkoły za czasów K. E. N. spełniły obowiązek przysposobienia wojskowego młodzieży? Odpowiedź wyczerpująca na to pytanie jest trudna. Trzeba rozporządzać sprawozdaniami ze wszystkich szkół ówczesnych, aby wydać sąd pewny i nienaruszalny. Sytuacja nie jest jednak beznadziejna. Możemy się pokusić o ogólną charakterystykę stanu wychowania wojskowego w szkołach K. E. N. na podstawie tych materjałów, które są dziś dostępne i drukiem ogłoszone. Opierać się będziemy niemal wyłącznie na pomnikowem wydawnictwie źródeł do dziejów szkolnictwa czasów stanisławowskich, które doczekały się ogłoszenia dzięki niestrudzonym zabiegom T. Wierzbowskiego p. t. *Komisja Edukacji Narodowej*. Materjał nasz czerpać będziemy z raportów generalnych wizytatorów, którzy skrzętnie notowali stan nauk w danej szkole i z raportów szkół niższych, parafjalnych (z lat 1776 — 1793).

O edukacji wojskowej w szkołach elementarnych informacje są bardzo ubogie. Można śmiało powiedzieć, że jej niemal wcale w szkołach parafjalnych nie było. Znajdujemy tylko ślady zaleceń, idących w tym kierunku, ale dość późno, bo w r. 1792. Mianowicie ks. Markiewicz D. zarządził, aby w szkole w Wielkim Książu „w dni rekreacyjne pogodne z uczniami w pole wychodzić i tych dla zahartowania sił na podobieństwo mustry szykować i w obrotach żołnierskich ćwiczyć będzie..." Trzeba dodać, że Wielki Książ to nie wieś, ale miasteczko. O edukacji wojskowej po wsiach głucho.

O wiele lepiej było w szkołach wydziałowych i podwydziałowych. Można znów uogólnić i stwierdzić, że niemal na całym obszarze Rzplitej musztra w tych szkołach należała do stałych, codziennych zabaw rekreacyjnych. Zapisali to w swoich raportach i Bonifacy Garycki, wizytujący w r. 1786 szkoły lubelskie i krakowskie i Szcz. Hołłowczyc, wcześnie już, bo w r. 1774, wizytujący szkoły płockie i inni.

Trudności były duże. Brakowało zwłaszcza funduszów. To też nie dziw, że w r. 1774 prosił ks. Józef Rogaliński o odpowiedź na następującą wątpliwość, którą powziął podczas objazdu szkół: „W szkołach powiatowych i wojewódzkich przepisana jest dla studentów w dni rekreacji mustra żołnierska, trzeba tedy żołnierza chować przy każdej szkole, a nie przepisano jest, kto, skąd i jak wiele mu będzie płacić, ile że nawet w miastach, gdzie są garnizony, żaden żołnierz nie będzie tej pracy darmo podejmował". Wątpliwości tych nie rozprószył ks. biskup płocki, odpowiadając, że nastąpi to z chwilą innego rozłożenia wojska w kraju. Zdarzyły się też wypadki, że młodzież uzbrojona „przeciw nauczycielom zażywała broni" (szkoły barskie i humańskie). „Obywatele z mustry zadowoleni" — notuje w r. 1783 ks. Fr. Kolendowicz. W wielu szkołach uprawiano też bicie na palcaty.

Radosne uwagi czyni w r. 1784 Józ. Bogucicki po wizycie w szkołach piotrkowskich: „ks. prefekt godzien sprawiedliwej pochwały... w czasie od nauk wolnym stara się, ażeby uczniowie zabawiali się musztrą i innemi żołnierskiemi ćwiczeniami, na co miałem ukontentowanie pod bytność moją w szkołach tutejszych zapatrywać się". Nadto znajdujemy w *Gazecie Narodowej i obcej* z r. 1791 ciekawy opis ćwiczeń wojskowych młodzieży, wykonanych pod okiem króla Stanisława. „We środę — donosi *Gazeta Narodowa*—21.IX młodzież edukująca się w tutejszym konwikcie XX. Pijarów, odprawiła na Żoliborze w przytomności J. K. Mci i licznie zgromadzonego ludu, popis z manewrów wojskowych, do których się przez czas wakacji sposobiła, i których dwa plany przez siebie odrysowane dwoma dniami pierwej królowi J.Mci podała. Na tym popisie pp. konwiktorowie, odbywszy zwykłe manewry atakowali usypaną od siebie i minami zasadzonemi wzmocnioną, a przez gwardję kor. bronioną redutę i onę szturmem wzięli. Rzeźkość, uwinność, zręczność i śmiałość wydająca się w młodocianym wieku rozrzewniały serce króla..."

Tak więc, jak widzimy, dorobek szkół z epoki stanisławowskiej w dziedzinie wychowania wojskowego młodzieży, nie jest zbyt bogaty. Daleko było jeszcze do osiągnięcia tego ideału, który wysuwał bezimienny autor z r. 1784, ażeby cały naród wyćwiczyć i uzbroić na wzór Szwajcarji. Dokonał się już jednak wówczas duży przełom. Z całkowitej obojętności wobec lilipuciej armji, przeszliśmy za czasów K. E. N. do zrozumienia potrzeby edukacji wojskowej we wszystkich szkołach. Ale większe było zrozumienie, niż możność i zdolność wykonania przepisanego planu. Musimy przyznać, że w dziedzinie wychowania wojskowego młodzieży zrobiono już niejedno, ale nietyle, aby uratować upadające państwo. Czasu już widocznie nie stało. Gorączkowa praca pokolenia stanisławowskiego we wszystkich dziedzinach życia narodowego została przerwana przez rozbiory.

Ale przerwane pod koniec 18 stulecia dzieło K. E. N. trzeba dziś podjąć na nowo. Zamiast modnego oglądania się na reformy szkolne włoskie, czy rosyjskie, rzućmy okiem i na dorobek szkolny Komisji Edukacji Narodowej, którą nam przypomniała święcona niedawno 150-letnia rocznica jej ustanowienia, ale o której zbyt często i zbyt łatwo zwykliśmy zapominać.

TADEUSZ BIELECKI

*) Nie przeszkadzało to umieszczać w drukach ówczesnych długich ustępów, wymierzonych przeciw wojnie i sławie wojennej.

Z VERLAINE'A

W ŁÓDCE
(En bateau)

NA ociężałe wody wieczór spływa;
W ich gąszczu gwiazda, jak złota cięciwa,
Drga żmijką.—Wioślarz już szuka łuczywa.

*

— Teraz, lub nigdy! Zawini ten srodze,
Kto chwilę strwoni. Dłoniom puszczam wodze:
Panowie, nieprzyjaciel, co na drodze!

*

Kawaler Atys na chłód Chloris targa
Strunę—lecz nagle w tryumf przeszła skarga:
W srodze strzeżony pieprz wpiła się warga.

*

Labuś coś szepce—znać żądze uśmierca
W swej penitentce; hrabicz, przeniewierca,
Z przeciwnej strony — szuka dróg do serca.

*

Lecz już się rąbek księżycowej twarzy
Wznosi. Z szuwarem ciemna toń coś gwarzy —
Gdy, po jej łonie mknąc, łódź cicho marzy.

(Fêtes Galantes)

*
* *

MUSZLE
(Les Coquillages)

GDY badam wnętrze muszel wrośniętych w ił groty,
Co nam dwojgu królewską łożnicą się słała—
Widzę, że mają własne wyraz i przymioty.

*

Jedna purpurą żywą mieni się i pała,
Jak owa fala krwi, co w bliźnich sercach broczy,
Gdy ja jak słup goreję i ty w ogniu cała;

*

Ta przypomina miękkość liljowych przezroczy
Omdlewających członków, gdy blada, jak chusta,
Miewasz za złe, że kryją cień żartu me oczy;

*

Ta—karczek jasny; tamta, jędrna i niepusta,—
Twe młode piersi, pełne jak jagody winne;
Ta—ucha arabeski; tamta—świeże usta;

*

Lecz zwłaszcza widok jednej mię zmieszał nad inne...

(Fêtes Galantes)

NA PRZECHADZCE
(A la promenade)

NIEBO takie łagodne, drzewa takie giętkie
Zdają się uśmiechać do szat jasnych tonów,
Co, powolne kaprysom fałdów i festonów,
Mienią się z ruchem każdym — niedbałe, a miętkie.

*

Wiatr ciepły o sadzawki taflę ledwo trąca,
A poprzez topolową cienistą aleję
Ułagodzona jasność słoneczna się leje —
Niebieskawa i jakby z umysłu mdlejąca.

*

Zwodziciele wytworni, zalotnice wabne,
Serca zapalne, w więzy przysiąg nie zakute,
Ścieramy się kunsztownie na wesołą nutę —
Kochankowie kochankom strzały ślą jedwabne.

*

Czasem niedostrzegalnie chyża rączka mała
Policzkiem skarci za coś. Przestępca skruszony
Kładzie wzamian swe usta na paznogć toczony
Najmniejszego z paluszków.—Ta bezczelność śmiała

*

I skora obcesowość doznają odprawy
W druzgocącem spojrzeniu, wyniosłem i suchem.—
Przecie niezbyt licują z surowym tym ruchem
Kąciki ust zalotne i dąs dość łaskawy.

(Fêtes Galantes)

*
* *

ZAPOMNIANE MELODJE
(Ariettes oubliées)

KLAWISZE, które łagodna dłoń pieści,
Lśnią przez różowo-srebrny mrok zdradliwy,
A z strun spinetu wzlata i szeleści
Dźwięk jakiś dziwny, słaby i pieściwy —
Płynie dyskretny, jak gdyby wstydliwy,
Przez gotowalni aromat niewieści.

*

Skąd ta pieszczota—skąd ten przyśpiew rzewny,
Co zakołysał mem sercem uśniętem?
Czego chcieć możesz, rytmie słodki, zwiewny? —
Czegoś chciał trylu, rozlewny, niepewny,
Który już konasz za oknem przymkniętem,
Śród drzew drzemiących — jak szept modlitewny?

Przełożył BOHDAN WYDŹGA

ZE WSPOMNIEŃ O ŚLEWIŃSKIM

(WYJĄTKI Z PAMIĘTNIKA)

Niedawna wystawa pośmiertna dzieł ś. p. Władysława Ślewińskiego zapoznała lepiej szersze koła społeczeństwa polskiego z twórczością tego wielkiego a w kraju niedość znanego i niedocenionego za życia artysty. Garść wspomnień, które poniżej drukujemy, dorzuca niejeden szczegół do charakterystyki zmarłego twórcy, przypominając jednocześnie wielki okres sztuki francuskiej na przełomie XIX i XX stulecia, okres ściśle związany ze świetnym podówczas rozkwitem malarstwa polskiego.

Paryż, d. 20 grudnia 1912 r.

CZASEM w pracowni odwiedzają mnie goście.

Był już zmierzch, przez okna padały ostatnie światła zachodu i lekko różowiły kąt jednej ściany pracowni, gdy przyszedł do mnie Ślewiński. Lata przygarbiły go nieco — przybyło siwych włosów od czasu kiedy go widziałem. Zawsze dziecinnie kochający sztukę i młody w odczuwaniu barw.

Musiały go dziwić moje obrazy — nie mogłem żądać bezwzględnej wyrozumiałości. Chwalił koloryt. Woleliśmy milczeć i przypominać sobie chwile minione. On był już dojrzałym malarzem, kiedy ja zaczynałem. Było to dawno — teraz tu obaj na obcej ziemi, na tułaczce.

Wyszliśmy z pracowni. Przystosowany do klimatu staruszek, okryty sukienną pelerynką, kupioną w Krakowie, w chłodny dzień zimowy szedł wolnym krokiem. Uliczkami zdążaliśmy ku bulwarowi. Opowiadał mi wiele ze swych wspomnień, które wydawały mi się bliskie: jak na Notre Dame de Champs dźwigać kiedyś musiał pijanego Strindberg'a z pomocą Fify, ulubionego pieska do domu.

Trochę wyżej koło starego domu polował na szczury. Pociesznie wyglądać musiał, gdy na środku bulwaru z przestrachem zdejmował garderobę, aby się uwolnić od szczura, który się wsunął miedzy bieliznę.

— Ho, ho, stare dzieje, mój panie. Tak, tak, nie kłamię, dalibóg nie kłamię, — Śmiałem się serdecznie z nim razem.

Trochę dalej szliśmy przez wązką uliczkę „de la grande Chaumiére", gdzie jeszcze stara istnieje akademja Colarossi'ch. Zatrzymał mnie przed sklepem — tam przez okno widniało zakopcone wnętrze.

— Tu widzi pan była „Crémerie" dawniej, a tam w kącie stał stół. Codziennie chodziłem tam z Gauguin'em — tam siadywaliśmy — tak, a na ścianie, o tam — wisiał obrazek Chełmońskiego.

Zamyśliłem się nad tem, co mówił. Spojrzałem w stare podwórko, gdzie słabo jeszcze zarysowywały się wyblakłe już barwy fresku Wyspiańskiego *).

Przeżywał staruszek chwile rozrzewniających wspomnień. Wyobraziłem sobie malarza, młodego wtedy, z jednym z największych francuskich w przyjaznej zażyłości. A potem przypomniałem sobie obrazy Gauguin'a z taką czcią w bretońskiej chacie przez przyjaciela lat dawnych przechowywane.

Odprowadziłem go ku domowi. Długo jeszcze myślałem o nim. Na niebie księżyc powoli wschodził ponad domami.

Doëlan 5 września 1914.

Noc cicha bretońska nad oceanem. Szum fali kołysze do snu. Niedawno pożegnałem Paryż i krwawe reflektory nad miastem. Po ulicach szło wojsko na pola bitwy. Podwojone straże.

Jestem gościem w domu Ślewińskiego. Poczciwy przysłał mi depeszę, abym do niego przyjechał.

*) Przypomina o tym fresku Karol Maszkowski w ostatnim numerze „Sztuk Pięknych" *Red.*

Mały port rybacki w Doëlan. Dom na wzgórzu otoczony murem. Dookoła ogród warzywny i kilka drzew owocowych. W oddali pośród chat stuk drewnianych sabotów rybackich. Na horyzoncie bronzowe żagle.

Ślewiński nieco postarzał i chwilami smutek na twarzy się zarysowuje. Często błąkamy się nad morzem i rozmawiamy o sztuce. Długie przechadzki, pełne serdecznych zwierzeń i tęsknoty za krajem. Poznaliśmy się kiedyś w Zakopanem. Przychodził wieczorami Stanisław Witkiewicz, Kasprowicz, Żeromski, Stanisławski i inni.

Ślewiński, przygnębiony wojną, mało maluje. Siedzimy często w jadalnym pokoju. Opowiada chętnie wspomnienia ze swego życia, związane z Domaniewicami, w których gospodarzył, nim został malarzem. Wieczory ciche, jesienne. Rozczytujemy się w historji polskiej. Tworzymy plany — w sercach mamy nadzieję.

Na ciemno-czerwonej tapecie obrazki i stare pamiątki. Kilka mebli bretońskich, ciosanych w drzewie chłopską ręką. Fajanse i porcelana. W dzbankach kwiaty złote, jesienne.

Długo pamiętać będę ten pokój w zacisznym kącie Bretanji, miłą posiwiałą twarz za okrągłym stołem i spojrzenie wiszącej *Faàta* Gauguin'a, gdzie ciemne dziewczyny *Papeete'a* w zielonym ogrodzie miękie swe ciała kąpią w słońcu na cynobrowem tle południa.

Doëlan 8 paźdz. 1912.

Przez okno mego pokoju widzę złotawą łąkę a za nią Ocean. Myśli moje wybiegają w przeszłość. Wiosna lat temu dwadzieścia parę.

Pośród sadów gubi się ścieżka koło starej oberży. Dwa okna oświetlają wnętrze izby bretońskiej. Kilka drewnianych stołów i ław, kieliszki i wino we flaszkach.

Kilku malarzy, bretońskie berety, fajki w ustach, na nogach drewniane saboty, pomalowane cynobrem i obwiedzione kobaltowym konturem. Pośrodku Paweł Gauguin. Oczy pełne ognia, nos orli, włosy w tył odrzucone, Filiger, Serusier, Emile Bernard, anglik O'Conor, holender Hahn, Ślewiński i inni. — Schodzą się wieczorem na pogawędkę po pracy. Sufit i ściany posmarowane szkicami i farbą. Noc cicha wiosenna. Nad wsią senną księżyc. Pont-Aven niedaleko.

Tego wieczoru było smutno. Wspomnienie Gauguin'a z pobytu w Arles i przyjaźń z Van Gogh'iem, który w szale odcina sobie ucho i nieczuły na ból pali fajkę, leżąc na łóżku, pogrąża w smutku przyjaciół. „Żółty Chrystus" Gauguin'a, o którym G. Mirbeau z zachwytem wspomina — świeżo skończony. Nowe pojęcie formy, obwiedzionej konturem, barwy czyste i pełne tajemniczego blasku — harmonja całości i zwrot do prymitywnej prostoty wyrażenia kształtów. Gauguin ożywiony mówił. Padały słowa:

„Posługujcie się farbami tego samego pierwiastka. Indygo jest najlepszą podstawą. Staje się ono żółte przetrawione vitrjolem i czerwienieje w occie — drogiści posiadają je zawsze — trzymajcie się tych trzech zabarwień. Kto wam mówi, że cynober jasny jest ciałem, i że bielizna ma cienie szare? Położcie materję białą obok kapusty, lub obok wiązki róż, a ujrzycie, czy ona będzie zabarwiona na szaro. Odrzućcie czerń i połączenie czerni z bielą, co nazywają szarością. Niema szarości; co się wydaje szarem, jest jedynie połączeniem odcieni jasnych, których wyćwiczone oko się dopatruje. Dobrze jest mieć modela, lecz trzeba go zasłaniać kotarą, gdy się go maluje. Lepiej malo-

wać z pamięci. Wasze będzie dzieło. Wasza wrażliwość. Szukajcie harmonji a nie opozycji — zgody a nie wywrotu. Bakałarzom zostawcie kopjowanie dzieł dawnych. Nie kończcie zanadto. Wrażenie nie jest nigdy dość trwałe — poszukiwanie drobnych detali zamraża lawę uczucia. Lepiej oddać naturę taką, jaka jest, niż ją ubrać w przygotowany w teorji rysunek.

Niema nic bliższego arcydziełu, jak knot. Trzeba pokonywać wszelką bojaźliwość i małoduszność".

Były dni, kiedy Gauguin nie miał dachu nad głową. Ileż szkiców i obrazków zostawić musiał za długi. Taki już los artystów. Niedawno czytałem w jednym z dzienników: „Rada miejska uchwaliła na prośbę i podpisy przyjaciół i wielbicieli ofiarować kawałek ziemi na wieczność poecie samobójcy Deubel'owi, który się z nędzy utopił w Sekwanie".

Tego wieczora nie było młodego Seguin'a, którego Gauguin bardzo cenił i Jourdan'a, którego dziś jeszcze po starych fermach bretońskich widują w biedzie i zapomnieniu. Nie było też Annah'y, mulatki o czarnej cerze i ognistych oczach. Dzieliła ona samotność Gauguin'a w paryskiej pracowni na poddaszu ulicy Vercingétorix. Była wiernym modelem i nieodstępną towarzyszką w chwilach niedoli i tułaczki. Miał Gauguin dla tej nawpół dzikiej dziewczyny słabość, zawieszał na niej błyszczące cacka, ciesząc się jej prostotą. Ona też była ulubioną formą jego obrazów. Stąd późniejsza wędrówka na wyspy Oceanji, czarujące poezją dziewiczej flory. Jej to broniąc przed pijanym marynarzem w Pont-Aven zraniony w nogę całe życie cierpiał, a w końcu gorący klimat Papausów rozjątrzył ranę, z której umarł.

— — — — — — — — — — — —

Kiedy dziś patrzę na rozpromienioną twarz Ślewińskiego, widzę go zawsze wśród tej gromady ze szkoły Pont-Aven, z którą go wiązała serdeczna przyjaźń, kiedy nowe torowali drogi. Lub widzę go zadumanego przy sztaludze w pracowni, gdy w egzaltacji uczucia stwarza harmonje barw coraz to inne — albo kołysanego wiatrem na brzegu morskim w walce z płótnem i farbami.

Zbliżał się wieczór. Zeszedłem po schodach do jadalnego pokoju. Złote ciała czarnych dziewcząt, Tahiti z obrazu Gauguin'a witały mnie uśmiechem. Patrzyły na mnie dwie smutne dziewczynki bretońskie *„Pui Teina"* z zielono-błękitnego pastelu, a obok młoda jeszcze twarz Ślewińskiego, namalowana obok bukietu kwiatów wiosennych ręką Gauguin'a, była dziwnie pogodna. Pokój oblekał się zwolna szarą mgłą zmierzchu, zapadał w ciszę. Niedługo zapalą lampę, pojawią się znajome twarze, ożywią się ściany rozmową i minie jeszcze jeden z tych dni, co nie wracają.

Le Pouldu 9 paźdz. 1915.

Jesienna słota. Chmury deszczowe zwolna zakrywają widnokrąg — morze we mgle, po dróżkach wiejskich błoto. Byłem w Doëlan pożegnać Ślewińskiego przed wyjazdem ze wsi. Przyjął mnie mile i gościnnie. W pokoju jadalnym żadnych zmian, ten sam miły urok zasobnego domu na wsi. Na ścianie tylko nowy obrazek Ślewińskiego: czerwone jabłka na bronzowem tle i kubek bretoński. Patrzyłem na nie przez chwilę z zadowoleniem.

— Dobra „Natura" — odezwałem się.

— Tak? dobra? Pokażę panu coś lepszego. Namalowałem kwiaty, które mi się udały.

Zapomniał staruszek, że miał mi z zasady nie pokazywać swych obrazów, jako „kubiście". Wyciągnął z poza małej szafki niewielkie płótno w ciemnej ramce. Był to bukiet kwiatów różowych i złotych.

— Widzi Pan, można być naturalistą, a zrobić rzecz dobrą.

Potem był obiad i trochę muzyki. Zostałem sam z panią Ślewińską w bibljotece. Skorzystałem z tej sposobności:

— Gdyby Pani zechciała poprosić p. Ślewińskiego, możebym mógł pójść do jego pracowni. Niewiem czemu wyobraził sobie, że jestem źle usposobiony do jego malarstwa.

— Dobrze.

Na schodach Ślewiński był ożywiony i wesoły.

— Pokażę Panu jabłko kubistyczne zupełnie kwadratowe—schowałem je dla Pana, malując je myślałem o Panu.

W istocie było na talerzu jedno jabłko ogromne i wśród innych okrągłych bezkształtne. Probował mi je włożyć do kieszeni.

Spostrzegłem duże płótno: „owoce na stole z serwetą".

— A co?

— Możnaby je postawić przy Cezanne'ie — nie byłoby gorsze.

Potem „akt" młodej dziewczyny.

— Podobno Pan zrobił swój portret w kapeluszu bretońskim?

— Tak, ale mi się nie bardzo udał.

Mimo to prosiłem, by mi pokazał. Jako portret wydał mi się mało podobny, lecz spostrzegłem w nim wiele doskonałych wartości malarskich. Po kątach wiele innych płócien.

Zawołano na herbatę. Schodzimy gawędząc o malarstwie. Potem odbyliśmy pielgrzymkę do ukochanej Polski, oglądając „Ilustrowany Kraj w obrazach". Wieczór się zbliżał, gdy żegnałem Ślewińskiego, życząc mu zdrowia i ochoty do pracy.

Deszcz ustawał, gdy wracałem drogą do mojej wioski.

Paryż, dnia 27 marca 1918.

Umarł biedny Ślewiński. Byłem na jego pogrzebie; zwłoki wyprowadzono z kościoła St. Anne przy ul. Tolbiac, gdzie zebrało się nieliczne grono jego przyjaciół, aby mu oddać ostatnie pożegnanie. Kilku malarzy, literatów i jego ulubiony doktór Queyrat w wojskowym płaszczu ze złotemi galonami na czapce i siwą brodą, otaczającą półkolem piękną twarz o poczciwych oczach— wśród innych p. Władysław Mickiewicz w ciemno-szarej żakietce i z białą, jak śnieg, nieco naprzód pochyloną głową. Piłsudski, brat generała, Antoni Kamieński, malarz z Warszawy, Dunikowski, rzeźbiarz, Z. L. Zaleski, malarz farancuski V. Dupont, St. Szpotański i wielu młodych artystów.

Czarny karawan posuwał się zwolna po długich ulicach Paryża. Duży okrągły wieniec z ciemnych bratków, ułożonych dołem w półkole a u góry gałązkami białego bzu zakończony, ożywiał poezją tę ciemną i smutną architekturę żałobnego wozu. Dzień był szary, wiosenny.— Jeden z tych pierwszych dni ciepłych, kiedy już niektóre drzewa wypuszczają listki — zbliżającej się wiosny, której już biedny Ślewiński nie doczekał.

Cmentarz w Bagneux porosły dużemi drzewami. Niewielki orszak pogrzebowy posuwał się wolno po głównej alei. Skręciliśmy na prawo, kierując się w stronę mogiły. Po smutnym obrzędzie p. Mickiewicz pożegnał zmarłego w imieniu zebranej garstki przyjaciół, w języku francuskim ze względu na obecność kilku cudzoziemców. W owej chwili wszystkie oczy zwrócone były z wyrazem głębokiego żalu na znikającą przed nami trumnę i tylko w słabym promieniu zachodzącego słońca srebrzyła się piękna, męska głowa syna poety.

Żegnaliśmy żonę zmarłego z uczuciem żalu i szacunku dla żałobnej szaty, pod którą krył się smutek i opuszczenie.

Pokolenie późniejsze uczci pewno inaczej pamięć tego artysty i oceni lepiej jego niezaprzeczony talent.

Paryż. TADEUSZ MAKOWSKI

LIBERUM VETO

Tortura czytelników. — Głos społeczeństwa. — Opinja p. Witosa. — Dodatek do jego słów. — Proste rozwiązanie zagadnienia Kresów Wschodnich. — Przykład. — Dwa strzały prof. Krzyształowicza.

PRAWDOPODOBNIE wszyscy to odczuwamy, że czytanie gazet jest obecnie torturą moralną. Bierzemy każdy numer dziennika z przekonaniem, że znajdziemy w nim długi szereg wiadomości o krętactwach partyjnych i karczemnych kłótniach Sejmu, o nieudolnych lub zdrożnych postanowieniach rządu, o trwonieniu majątku publicznego, o nadużyciach, kradzieżach, oszustwach, nieukaranych występkach winowajców urzędowych i prywatnych. Wykąpać myśl codzienie w tem bezbrzeżnem i bezdennem błocie, rozedrzeć patrjotyczne serce gniewem i rozpaczą — jest tak straszną męczarnią, że wielka procesja samobójców, przesuwająca się przez nasze obecne życie, wydaje się zupełnie naturalnem upostaciowaniem jego tragedji. W dzikich wrzaskach stronnictw wichrzycielskich i względem państwa zdradzieckich, słyszymy nie to, czego one żądają, ale czego świadomie i bezwiednie żąda naród: Niech przyjdzie jakać siła chcąca i zdolna uporządkować chaos, usunąć niedołęstwo, ukrócić łotrostwa; niech się zjawi jakiś człowiek z gorącą miłością ojczyzny, z głębokim rozumem, z potężną nieugiętą, niczem niezastraszoną wolą, niech nam zapewni ład, bezpieczeństwo, pomyślność; niech otworzy szerokie pole dla płodnej pracy i uczciwych dążeń. Ten głos, słyszany i niesłyszany, wydobywa się z miljonów piersi polskich, uciśnionych niedolą, podłością i beznadziejnym smutkiem.

Odezwał się on w słowach p. Witosa na pytania wywiadowcze jednego z dzienników warszawskich. Występowałem nieraz przeciwko wodzowi Piasta, którego sumienie polityczne obciążone jest grzechem pchnięcia nienasyconych żądz chłopskich w kierunku zdobyczy materjalnych i karmienia ich dotąd demagogją. Z tem większą przyjemnością odczytałem jego mądre i obywatelskie twierdzenia w tym wywiadzie.

Państwo polskie — powiada p. Witos — znajduje się w takiem położeniu, że żadne klajstrowanie nie przyda się na nic. Może ono tylko przedłużyć chorobę, ale jej nie uleczy. Tu potrzebna ciężka i bolesna operacja. Pozostawianie zgniłych i nienormalnych stosunków przez nieustanny oportunizm, sprzedawanie, zastawianie lub wydzierżawianie ostatnich niemal wartości państwa, ażeby je spożyć w ciągu paru miesięcy, to przecież gospodarka bankruta, który nie dba o jutro. Schlebianie partjom politycznym wtenczas, kiedy należy im powiedzieć nagą prawdę, musi przerazić każdego myślącego obywatela. A tą prawdą jest: że państwo wydaje więcej, niż ma, może i powinno; że marnowanie grosza publicznego i częste, zwyczajne kradzieże przekroczyły już wszelką granicę; że pożyczki, zaciągnięte przez rząd, użyte zostały na pokrycie wydatków bieżących, że napięcie podatkowe doszło do kresu, niszcząc warsztaty pracy i wyczerpując źródła dochodów, zaś mimo to budżet wykazuje setki miljonów niedoboru, a chwiejący się złoty podtrzymywany jest olbrzymiemi ofiarami ze skarbu państwa.

Wszystko to rząd powinien był przyznać, nie wykręcać się frazesami. Samemi pożyczkami zawsze żyć nie można, bo trzeba je oddać, ażeby zaś mieć na to, trzeba przestać strajkować, próżnować, a zacząć pracować i tworzyć, nie bawić się w wielkiego pana, nie pożyczać i trwonić, lecz bezwględnie oszczędzać. Do tych rozumnych rad, przypominających niekiedy język Mussoliniego, należałoby jeszcze dodać: stronnictwa wichrzycielskie i wrogie państwu powinny być okiełznane przez większość patrjotyczną, grupa zaś Piasta powinna zaniechać wyścigu z Wyzwoleniem, pozbyć się resztek demagogji i nie patrzeć na Polskę, jedynie ze stanowiska gospodarstwa chłopskiego. Bo taka kuracja przydałaby się samemu lekarzowi.

Dwie drogocenne perły leżą dotąd niewydobyte na dnie morza naszego życia państwowego, kwiaty dwu jego paproci czekają na noc świętojańską — rozum i cnota. W tych dwóch tak pospolitych wyrazach a tak rzadkich przymiotach kryje się rozwiązanie zagadki całego bytu Polski. Chora ona, bo ma za mało mądrych i uczciwych, zdrowa i silna byłaby, gdyby ich miała wielu. Możemy to stwierdzić w tysiącznych wypadkach, możemy również w tym, który jest nasza stałą troską i skargą w sprawie kresów wschodnich. Ileż to już zużyto dziennikarskiego papieru i atramentu na spisywanie i leczenie tej „bolączki"! A tkwi ona w tym prostym fakcie, że na te kresy spłynęły zbyt wielkie fale wypchniętej głupoty i szumowiny moralnej, które tam posłano, jak gdyby szło o zarządzanie kolonją karną. Wschodnie pobrzeża państwa, obficie obłożone półwyspami i wyspami ludności innorodnej, ciemnej, wrogiej, z zewnątrz do buntu i szkodliwego działania podniecanej, wymagają nadzwyczajnie rozważnej, troskliwej i umiejętnej opieki administracyjnej. Musimy wytworzyć przyjacielski, a przynajmniej pokojowy z niemi stosunek, możemy zaś to uczynić tylko rozsądkiem, uczciwością, sprawiedliwością i uszanowaniem ich odrębności. A jakże obce są te zalety naszym działaczom wschodnio-kresowym! Im się zdaje, że ich tam nie krępują żadne prawa i obowiązki, że są posłani z przywilejem lub z bezkarnością samowoli, gwałtu i grabieży, że są misjonarzami śród niewiernych. Jeden z przygodnych obserwatorów życia na Wołyniu opowiadał mi fakty, które świadczą bądź o bezwstydnem nasycaniu osobistej chciwości, bądź o ślepocie postępowania tamtejszych władz z ludnością miejscową. Pomijam kategorję przewinień, zbyt dobrze znanych, przytoczę jeden bardzo wymowny przykład błędów. W pewnej wsi ruskiej nauczycielką szkoły ludowej była — a może i dotąd jest — Polka, która rozumnem i serdecznem zachowaniem się nie tylko przywiązała do siebie dzieci, ale zyskała sympatję i szacunek ludności miejscowej. Zapowiedział swą wizytę w szkole archirej. Dzieci prawosławne prosiły nauczycielkę, ażeby go przywitała i ażeby w swej przemowie zaznaczyła wyraźnie, że one, pomimo odmiennej mowy i religji, uważają się za Polaków. Chociaż nauczycielka pragnęła zadośćuczynić ich życzeniu, nie chcąc brać go na własną odpowiedzialność, zwróciła się z zapytaniem do inspektora szkolnego, który kazał jej na czas pobytu archireja wyjechać. Po powrocie spostrzegła, że całą sympatję, owoc długoletniej pracy i starań, zupełnie straciła. Nietolerancyjni, zbyt gorliwi nawracacze kresów, zapewne wy, wasi bliżsi i dalsi przodkowie, broniliście swojej religji, swojej mowy, aż do największych męczeństw i ofiar, aż do utraty życia; dlaczego nie pojmujecie i nie szanujecie tych uczuć u innych, dlaczego chcecie je obrażać i tępić? Czy sądzicie, że w ten sposób pomnożycie chwałę swojej ojczyzny i zjednacie dla niej miłość tych, których usiłujecie wynaturzyć i przerobić gwałtem? Nigdy i nigdzie takie postępowanie nie osiągnęło zamierzonego skutku. Tą drogą zdobywa się tylko nienawiść.

Ustępujący z rektorstwa w uniwersytecie warszawskim prof. Krzyształowicz puścił dwie strzały: jedną w kierunku studentek, które zapisują się na wyższe studja dla noszenia akademickich czapek i korzystania z pewnych przywilejów, drugą w kierunku studentów, związanych w korporacje i zaniedbujących naukę. Płeć słaba, czy dlatego, że słaba, czy, że milcząco uznała słuszność zarzutu, nie upomniała się o swoją obrazę; natomiast

płeć silna nie może dotąd po paru tygodniach uspokoić się z oburzenia, które wylewa w protestach publicznych. Żałuje mocno, że bezpośrednia znajomość niejednej studentki, pięknej, miłej, dobrej, ale tak przygotowanej do uniwersytetu, jak bażancice do malowania pisanek, nie pozwala mi bronić ich w całym zastępie, mógłbym to uczynić tylko dla wyjątków. Co do korporacyj studenckich, nie znam ich życia, znam tylko ich... czapki. Przeważnie cudaczne, skopjowane z czapek *vereinów* niemieckich, nasuwają przypuszczenie, że ta kopja rozciąga się do całości pierwowzorów, które są przeżytkami średniowiecznemi ze znaczną domieszką barbarzyństwa i bezmyślnej hulaszczości. Sądzę jednak, że nasze związki studenckie mają charakter szlachetniejszy, inaczej bowiem jużbyśmy słyszeli i widzieli wybryki w stylu burszów niemieckich. Młodzież — jak wszyscy ludzie — szuka siły i znajduje ją w połączeniach. A jeżeli w nich czasem zgrzeszy jakąś swawolą, czyż my powinniśmy ważyć te pyłki wobec ogromnych ciężarów przewinień w dojrzałych warstwach społeczeństwa?

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

POSTAWA SPOŁECZEŃSTWA

W CHWILI, kiedy piszemy te słowa (16.X) niema jeszcze nowego rządu. O przebiegu wypadków, związanych ze zmianą gabinetu, traktuje dzisiejszy Przegląd Polityczny; tutaj zrobimy uwagę uboczną, że opinja publiczna spokojniej oczekuje wiadomości, niż dawniej w czasie analogicznych przełomów. Nie oznacza to apatji, owszem opinja żywo interesuje się sprawami publicznami, zdaje sobie przytem sprawę lepiej, niż przedtem, że położenie jest ciężkie. Dla czegóż społeczeństwo spokojniej patrzy w przyszłość? Dla tego, że coraz lepiej organizuje się duchowo, jako ciało polityczne. Więcej ma świadomości stanu rzeczy i więcej poczucia swego wpływu na rząd i politykę.

Roman Dmowski tego lata na licznem zgromadzeniu mówił do Pomorzan z całem przekonaniem mniej więcej w te słowa: Nie narzekajcie na rząd, bo nie jest zły, i patrzcie śmiało w przyszłość, bo w Polsce będzie coraz lepiej. Gdy ten rząd upadnie, nowy rząd będzie lepszy od poprzedniego. Na czem Dmowski tą pewność opierał? Na poczuciu, że społeczeństwo polskie dojrzewa i będzie stawiało coraz większe wymagania rządom. Siła opinji musi mieć swój wpływ na Sejm, a ten nie będzie mógł, gdy idzie o dobro narodu, dogadzać fantazjom osób i partyj.

Społeczeństwo polskie nigdy tak jasno nie rozumiało rzeczywistości, że państwo wyrasta z niego i nie jest czemś zewnętrznem, co można wypożyczyć, albo oddać w przedsiębiorstwo cudotwórcy. Skarbu z próżnego nie naleje, budżet trzeba budować tak, jak się buduje groblę według stawu, taki będzie rząd, na jaki zasługuje społeczeństwo. Wyżsi urzędnicy, nawet ministrowie teraz dopiero zaczęli rozumieć prawdę budżetu i stosunku jego do stanu gospodarstwa narodowego. Wielką zasługę ma dotychczasowy premjer Władysław Grabski, że przetrwał kryzys psychologiczny społeczeństwa i dobrym był jego wychowawcą.

W miarę dojrzewania społeczeństwa we właściwszej perspektywie ustawiają się zjawiska staroświeckie warcholstwa, dziecinnego zawracania głowy społeczeństwu swoją osobą. Wulkan w Sulejówku, aczkolwiek oddaje jeszcze lawę i dymi, nie zasłania pejzażu polskiego. Na przednie miejsce wysunęło się w obrazie dobro państwa. Od obowiązku służenia temu dobru nie masz Wyzwolenia.

(X)

PRZEGLĄD POLITYCZNY

DWIE AKCJE RÓWNOLEGŁE

Rząd p. Władysława Grabskiego podał się do dymisji. Nie zmusiła go do tego zmiana położenia w Sejmie, który tak niedawno większością kilkudziesięciu głosów odrzucił wniosek, wyrażający *votum nieufności* rządowi. Przyczyna przesilenia tkwiła głębiej: była nią z natury rządu pozaparlamentarnego wynikająca słabość, konieczność prowadzenia polityki chwiejnej, nieustannie liczącej się z żądaniami stronnictw, wpływających na rząd w interesie reprezentowanych przez się grup czy klas, a za rządy Państwem nieodpowiedzialnych. Nowy atak niemiecki na złotego, różnica zdań co do akcji interwencyjnej na giełdach, coraz cięższe i coraz trudniejsze położenie gospodarcze kraju — przyśpieszyły jedynie ustalenie się w rządzie i w Sejmie przeświadczenia, że dotychczasowy system zawodzi, że konieczne jest zaniechanie na czas jakiś walki partyjnej i powszechne porozumienie stronnictw dla wytworzenia i konsekwentnego przeprowadzenia jednolitego programu sanacji. Od kilku tygodni toczyły się też między przywódcami klubów sejmowych rozmowy o możliwości powołania do życia rządu koalicyjnego. P. Władysław Grabski, doszedłszy do przekonania, że osoba jego nie ułatwia, ale raczej utrudnia porozumienie, ustąpił ze stanowiska, na którem w ciągu dwuletniego niemal urzędowania trwałe dla Państwa położył zasługi.

W tych warunkach idea mocnego rządu koalicyjnego, opartego na wspólnym programie sanacji i wspólnej, jasno określonej odpowiedzialności, musiała zarysować się, jako konieczność, zarówno ze względu na stosunki wewnętrzne, jak i na zdobycie większego zaufania zagranicą. Opowiedziała się też za nią większość stronnictw sejmowych, energicznie przystąpił do jej realizowania Prezydent Rzeczypospolitej i wyznaczony przez niego kandydat na premjera p. Aleksander Skrzyński.

Ale równolegle z tą akcją rozpoczęła się druga, o wybitnie osobistym charakterze. Początek dała jej nieoczekiwana i niepozbawiona błędów gramatycznych deklaracja b. Naczelnika Państwa Piłsudskiego, odczytana przezeń dn. 14 b. m. w Belwederze. Dalszym etapem była urządzona nazajutrz manifestacja oficerów w Sulejówku. Jen. Orlicz-Dreszer — wprawdzie kawalerzysta, nie statysta — wygłosił przy tej okazji mowę, mogącą robić wrażenie nawoływania do zbrojnego zamachu stanu. Cel zaś całej akcji, reklamowanej przez prasę brukową według ustalonego szablonu „królowej Warszawy“, był prosty: usunięcie ministra wojny Sikorskiego i ponowne wprowadzenie marsz. Piłsudskiego na odpowiedzialne stanowisko państwowe.

Akcja ta, właśnie w chwili kryzysu podjęta, musiała wywołać uczucie prawdziwego niesmaku. Przykre wrażenie robić musiał b. najwyższy reprezentant Państwa, gdy w chwili ciężkiej i trudnej pompatycznie składał deklarację, w której prócz animozyj osobistych, chęci usunięcia niemiłego sobie ministra spraw wojskowych, żadnych innych, ogólniejszych trosk wyczytać nie było można. Przykrzejsze jeszcze były pozbawione poczucia odpowiedzialności manifestacje rozpolitykowanych oficerów, ogłaszających wszem wobec, że jedynem wyjściem z piętrzących się trudności *gospodarczych* jest... powołanie do służby czynnej w armji Jozefa Piłsudskiego.

W chwili, gdy piszemy te słowa, obie akcje: ogólna, dążąca do wytworzenia programowego porozumienia stronnictw i rządu koalicyjnego, oraz osobista, mająca na celu ponowne wprowadzenie marsz. Piłsudskiego na stanowisko państwowe, są w toku. Druga akcja utrudnia ciągle pierwszą, przedłuża przesilenie...

IGN.

WYCHOWANIE NARODOWE

O REFORMIE SZKOLNICTWA

PAN minister Stanisław Grabski należy do ludzi zdecydowanych i odważnych. Po pomyślnem załatwieniu konkordatu i ustaw językowych wziął się obecnie do reformy zasadniczej naszego szkolnictwa.

Rada Ministrów zatwierdziła jego projekt ustawy „o ustroju szkolnictwa w Rzeczypospolitej“, poczem projekt ten wpłynął do Sejmu, gdzie stanie się przedmiotem debat.

Od szeregu tygodni trwa już na łamach prasy pedagogicznej i codziennej dość ożywiona dyskusja nad tym projektem, którego zarys wraz z umotywowaniem podał p. minister do wiadomości w szeregu wywiadów. W dyskusji projekt ten znalazł silnych oponentów i gorących zwolenników. Naogół można stwierdzić, że jest przedmiotem dużego zainteresowania w całem społeczeństwie, które instynktownie wyczuwa, że chodzi tu o rzecz niezwykle doniosłą. Chodzi o ustrój całego systemu wychowawczego, którego braki na każdym kroku są widoczne. Śmiało rzec można, że wogóle niedomagania obecne naszego państwa mają źródła w wielkich wadach dotychczasowego wychowania narodu polskiego, który pozbawiony własnego państwa nie miał i mieć nie mógł w XIX stuleciu własnego systemu edukacyjnego.

P. Grabski słusznie stanął na stanowisku, że punktem wyjścia dla reformy szkolnictwa winna być reforma kształcenia i uzdrowienie inteligencji, która jest i pozostanie na zawsze warstwą kierującą losami narodu i państwa*). Inteligencja polska nie jest związana bliżej węzłami współżycia gospodarczego i towarzyskiego z resztą społeczeństwa, a przyczyny tego faktu tkwią głęboko w politycznych i społecznych dziejach Polski.

Polska w swym historycznym rozwoju nie miała okresu oświeconego absolutyzmu, stan mieszczański, który równocześnie na zachodzie dochodził do rozkwitu, w Polsce w XVII i XVIII w. coraz bardziej upadał. Jednostki stanowiące zawiązek późniejszej inteligencji z bardzo małemi wyjątkami pochodziły ze stanu szlacheckiego. Po utracie niepodległości ten stan rzeczy trwał jeszcze bardzo długo, warstwa inteligencji trworzyła się poza połową XIX w. prawie wyłącznie z pośród szlachty, sfer ziemiańskich, względnie ze środowisk, które ze zdeklasowanych sfer ziemiańskich powstawały. Warstwa ta, mająca stanowić mózg narodu, była w dobie zaborów zbyt jednostronnie związana z jego całością, zwłaszcza zaś z jego życiem gospodarczem.

I jakkolwiek ostatnich lat kilkadziesiąt przyniosło wielkie zmiany na lepsze, to jednak, do dziś jeszcze inteligencja nie jest związana z innemi warstwami narodu, żyje życiem abstrakcyjnem, widać w niej zbyt wielką dążność do kształcenia czysto teoretycznego. Rozwój państwowy i ekonomiczny wymaga od Polski stworzenia innego typu inteligenta, powiązania najściślejszego warstwy inteligencji z warstwą włościańską, rzemieślniczą, kupiecką, wniesienia w życie inteligencji polskiej większych zasobów realizmu życiowego.

To zadanie osiągnąć się da — zdaniem p. ministra St. Grabskiego — tylko na drodze gruntownego zreformowania szkoły średniej, dostosowania jej do realnych warunków życiowych, odjęcia jej charakteru szkoły przygotowawczej do uniwersytetu. W całem społeczeństwie istnieje dziś olbrzymi pęd do wyższych studjów, będący wykładnikiem wielkiej prężności społecznej i powszechnej dążności do zdobycia wyższej kulturalnie formy bytu.

Weźmy więc za punkt wyjścia rozważań właśnie ten wielki pęd do oświaty, który jest bodaj najpiękniejszym rysem wszelkich warstw naszego społeczeństwa. Należy ten pęd w interesie państwa i narodu pielęgnować, bo on zapewni wielkość i siłę Polski. Trzeba mu jednak nadać właściwy nurt. Nie jest właściwy obecny jego charakter, objawiający się jednostronnem dążeniem do wyższych studjów teoretycznych, z omijaniem kształcenia zawodowego.

Trzeba w interesie Polski zwaczać pojęcie, że inteligentem jest ten tylko, kto przejdzie szkołę średnią ogólnokształcącą — gimnazjum, natomiast utrwalić pojęcie inteligenta: kupca, rolnika, rzemieślnika, technika, który stał się nim nie dlatego, że był za mało zdolny, by skończyć gimnazjum czy uniwersytet, ale dlatego, że uzdolnienia jego wrodzone takiego właśnie kierunku kształcenia wymagały. Ustrój szkół powinien być tak urządzony, by nie było sztucznych przeszkód do zdobywania wyższej oświaty dla nikogo, przeciwnie każdy obywatel powinien znaleźć warunki kształcenia się we właściwym mu kierunku. Przeszło 70% ludności żyje u nas na wsi, gdzie pęd do oświaty jest dziś nie mniejszy niż w miastach. Reforma szkolna winna zatem go uwzględnić w całej pełni.

W dotychczasowych dążeniach na tle reformy szkolnictwa ujawniły się u nas dwa kierunki.

Jeden, reprezentowany przez t. zw. obóz postępowy domaga się przymusu nauczania w zakresie siedmioletniej, siedmioklasowej szkoły powszechnej i uznania siedmioklasowej szkoły powszechnej, jako jedynej podbudowy dla dalszego kształcenia; na szkole tej opierać się ma pięcioletnia szkoła średnia, do której dostęp ma być swobodny dla wszystkich, kończących szkołę powszechną.

Drugi kierunek, reprezentowany przez większość nauczycieli szkół średnich i wyższych, bronił dotychczasowej ośmioletniej szkoły średniej, godząc się na podbudowę z czteroletniej szkoły powszechnej; jako główny argument wysuwa, że siedmioletnia szkoła powszechna nie może stać się szkołą przygotowawczą dla szkoły średniej, gdyż ma cel własny: wychowania jaknajlepszego ogromnej większości młodzieży, kończącej na niej swe wykształcenie. Zwolennicy tego kierunku dowodzili, że dopuszczenie do swobodnego przejścia ze szkoły powszechnej do średniej grozi obniżeniem poziomu tej ostatniej, a co za tem idzie także ogólnego poziomu kultury narodu.

Pan minister St. Grabski poszedł w swym projekcie drogą pośrednią. Uznał słusznie, że należy jednostkom uzdolnionym, kończącym szkołę powszechną, umożliwić przechodzenie do wyższych klas szkoły średniej, pozostawiając jednak w zakresie szkoły średniej ośmioletni kurs nauczania. W zakresie szkolnictwa powszechnego wprowadza poważną inowację, mającą na celu udostępnienie szerszym masom kształcenia w pełnej szkole siedmioklasowej.

Mianowicie wprowadza pojęcie t. zw. grup szkolnych, to jest łączy szereg miejscowości w jeden duży obszar, z pełną siedmioklasową szkołą pośrodku i ze szkołami filjalnemi, których dzieci uczęszczać będą w starszych rocznikach do szkoły centralnej. Kierownik takiej szkoły centralnej ma otaczać opieką wszystkie szkoły filjalne.

W ten sposób podniesie się niewątpliwie jakość naszego szkolnictwa powszechnego. Jeśli dodamy do tego zaprojektowany przez p. ministra przymus dokształcania kończących szkoły powszechne do 18 roku życia, możemy śmiało twiedzić, że przy wykonaniu zaprojektowanej ustawy poziom obywatelskiego wychowania szerokich mas będzie znaczny, nie niższy od wielu państw zachodnich.

---

*) Patrz wywiad z min. Grabskim, ogłoszony w „Szkole“ zeszyt X — XI, oraz wywiady w „Sprawach Towarzystwa“ T. N. S. W. i w „Warszawiance“.

Przejdźmy do szkolnictwa średniego. P. minister obecny kurs ośmioletni dzieli na 3 cykle zamknięte. *Pierwsze dwa cykle stanowić mają liceum* (niższe i wyższe). *Ostatni, dwu — a nawet trzyletni — gimnazjum.* Oryginalną nowością w projekcie tym jest ujęcie w system szkolnictwa średniego licealnego i gimnazjalnego wykształceuia zawodowego. Dotychczas szkoła średnia rozumiana była zwykle, jako szkoła ogólno-kształcąca, zaś szkolnictwo zawodowe było czemś niższem, mniej wartościowem.

P. St. Grabski, zgodnie z poglądami swemi, które zaznaczyliśmy na wstępie, chce przez ustrój szkolny rozszerzyć pojęcie równorzędności ogólnego i zawodowego wykształcenia praktycznego. Stwarza więc licea ogólnokształcące i zawodowe, które będą równouprawnione w ustawodawstwie państwowem, a zadaniem ich będzie wychować szerokie zastępy inteligencji zawodowej o średniem wykształceniu. System licealny, zabezpieczyć ma od marnowania się wielu tysięcy jednostek, które dziś, nie mogąc skończyć pełnej ośmioklasowej szkoły średniej, odchodzą z niej w 15-tym lub 16-ym roku życia bez zakończonego wykształcenia. Drugiem ważnem zadaniem liceum pozostanie dostarczenie dla gimnazjów kontyngentu młodzieży, która ma uzdolnienie do studjów wyższych. Dwuletni ogólno-kształcący kurs gimnazjalny będzie miał na celu przygotowanie do studjów wyższych, przy pomocy właściwych metod nauczania. Gimnazja zawodowe dwu i trzyletnie stanowić mają wyższy stopień szkolnictwa zawodowego, dać przygotowanie fachowe w przemyśle, czy handlu. Licea zawodowe mają dać inteligentnych majstrów, gimnazja zaś typ pośredni między majstrem a inżynierem — technologa, który będzie mógł samodzielnie prowadzić poważniejszy warsztat pracy.

W szeregu gimnazjów zawodowych przewiduje projekt również gimnazjum pedagogiczne dla kształcenia nauczycieli szkół powszechnych.

Wielką zaletą projektu min. St. Grabskiego jest oparcie go na właściwie rozumianej zasadzie jednolitości, pozwalającej rodzicom i szkole dostosowywać kierunek dalszego kształcenia, zależnie od ujawniających się w pracy szkolnej zdolności i zamiłowania dziecka. Przez podział szkoły średniej na trzy cykle, może dziecko w trzech okresach, t. j. około 14-go, 16-go i 18-go roku życia wybierać właściwy sobie typ szkoły. Dotychczas jest inaczej i jest źle. Dziecko dziewięcioletnie, wchodząc do szkoły średniej, nastawione jest już na konieczność ukończenia gimnazjum a następnie szkoły wyższej. To też większość marnowała się po drodze, odpadając ze szkoły. Projekt p. Grabskiego przez zróżniczkowanie typów liceum i gimnazjum na ogólnokształcące i zawodowe chroni od zmarnowania się uzdolnień.

Z tych względów projekt ten uznać trzeba za właściwy dla potrzeb i warunków naszego państwa.

W krytyce dotychczasowej — zwłaszcza w prasie lewicowej — podniesiono szereg zarzutów, które zdaniem mojem wynikają z nieporozumienia. Ustawa, którą wnosi obecnie min. Grabski, nie zajmuje się szczegółowo ustrojem szkolnictwa — jest ona ustawą ramową, rozstrzygającą tylko ogólne zasady ustroju i stosunek wzajemny poszczególnych stopni i typów szkół. Ustawy szczegółowe: o ochronkach, o szkołach powszechnych, liceach i gimnazjach, o kształceniu i kwalifikacjach nauczycieli napełnią treścią te ramy, jakie stworzy obecnie wniesiona ustawa.

JAN KORNECKI

NAUKA I LITERATURA

JĘZYK POLSKI

POMIMO niezwykłe ciężkich warunków materjalnych oraz lekceważenia pism treści naukowej przez publiczność polską, dwumiesięcznik „Język Polski" ukończył właśnie dziesiąty rok swego istnienia i, co dziwniejsza, z każdym numerem zdobywa sobie coraz więcej czytelników. Objaw to tembardziej pocieszający, że dowodzi, jak się zwiększają zastępy Towarzystwa Miłośników Języka Polskiego, którego organem jest to pismo. To zainteresowanie sprawami języka ojczystego, które jest jednoznaczne z jego umiłowaniem, zawdzięczać należy przedewszystkiem niezmordowanym zabiegom trzech uczonych krakowskich: prezesa Akad. Umiej. J. Rozwadowskiego oraz prof. Łosia i Nitscha, którzy od lat siedmiu stoją na czele pisma. Współpracowników ma „Język Polski" niezmiernie wielu z całej Polski: i to nietylko między uczonymi (są pośród nich tak głośne nazwiska, jak Kryński, Apel, Benni, Ułaszyn, Lehr-Spławiński, Gaertner, Szober, Kowalski, Wędkiewicz i t. d.), ale i pośród „szarej", niefachowej publiczności, boć dla niej pismo to istnieje przedewszystkiem. W formie jasnej i zaciekawiającej nietylko językoznawców i nauczycieli, uprzystępnia „Język Polski" najzawilsze i najtrudniejsze nieraz zagadnienia lingwistyczne ogólniejszej natury, a jednocześnie rozwiązuje kwestje, dotyczące struktury i dziejów naszej mowy rodzinnej, zwalczając różne fałszywe na tem polu poglądy.

W ostatnim roczniku na czoło wysuwa się dalszy ciąg niezmiernie ciekawego i pełnego ścisłych dat artykułu prof. Nistcha: „Granice państwa a granice języka polskiego". Artykuł ten, który jaknajrychlej powinien ukazać się w osobnej książce, wykazuje dokładnie, dokąd sięga żywioł polski i jak nas skrzywdzono przy wytyczaniu granic; książka taka przydałaby się i naszym politykom. Tenże uczony w innym atrykule dosadnie krytykuje pomysły polskich bolszewików w Sowdepji co do reformy pisowni polskiej, gdzieindziej zaś zwalcza plagę rusycyzmów, wdzierającą się nawet — do krakowskiego „Czasu". Ale temu najlepszemu (i dziś bodaj jedynemu) znawcy wszystkich gwar i narzeczy polskich najbardziej na sercu leży sprawa wszechstronnego opracowania słownictwa gwar polskich — pracy niedokończonej niegdyś przez Karłowicza. To też w każdym niemal numerze spotykamy gorące apele do wszelkich warstw społeczeństwa o nadsyłanie jaknajobfitszego materjału. Rzecz charakterystyczna, że gdy w niektórych województwach okazano wielkie zainteresowanie się badaniem własnego języka, gdy nawet z zaboru pruskiego liczne nadeszły odpowiedzi, najobojętniejszą dla tej sprawy okazała się — Warszawa.

Ciekawy jest artykuł prof. Wędkowicza: „Sądy cudzoziemców o języku polskim", z którego dowiadujemy się, że język nasz budzi w świecie niemałe trudności, niemniej wielu nawet wielkich pisarzy obcych uznaje go za piękny. Sprawą czystości i poprawności tego języka zajmuje się na łamach „J. P." wielu autorów, rozstrzygając lub roztrząsając kwestje sporne; obfity jest w tym względzie dział „odpowiedzi redakcji". Historją wyrazów polskich zajmują się: słownikarz H. Oesterreicher, prof. Grodecki, Łoś, Cywiński, Gaertner, Obrębska, Ramberg, Birkenmajer. Stosunkiem mowy do psychologji, zwłaszcza indywidualności ludzkiej zajmuje się znany pedagog Wł. Pniewski, zasłużony też jako autor książki o Łużycach. Specjalnie kwestjami pedagicznemi, nauczaniem języka pol. w szkołach, zajmuje się doświadczony znawca tej dziedziny, Z. Klemensiewicz, poruruszając sprawę podręczników gramatyki (które dziś wiele pozostawiają do życzenia) i krytykując programy Min. W. R. i O. P., dotyczące języka polskiego. Wśród recenzyj zasługuje na uwagę zwłaszcza jedna dłuższa, pióra prof. Benniego, poświęcona dyletanckiemu, pełnemu fałszów

i śmiesznych dziwactw „Podręcznikowi sztuki czytania" Tennera.

Zagadnieniom językoznawstwa ogólnego poświęcona jest rozprawa W. Doroszewskiego „O istocie fleksji", udowadniająca na szeregu przykładów, że języki w miarę coraz większego rozwoju dążą do coraz większych uproszczeń w zakresie gramatyki, czego najwymowniejszym przykładem jest obecnie język angielski.

J. BIRKENMAJER

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

P. Camille Aymard, Dyrektor dziennika „*La Liberté*", bardzo Polsce przychylnego, wydaje u Ernest Flammarion niezmiernie ciekawą książkę p. t. „*Bolchevisme ou Fascisme. Français, il faut choisir*". Książka ta odpowiada niezawodnie palącemu zagadnieniu obecnej chwili, kiedy ustala się z jednej strony dyktatura bolszewizmu, z drugiej zaś faszyzmu. Dodać należy, że kiedy w sierpniu b. r. komuniści francuscy wystąpili z wyraźną pogróżką przeciw ambasadorowi i konsulom polskim we Francji z powodu skazania Hübnera, Kniewskiego i Rutowskiego, p. Aymard był pierwszym, który zabrał głos w tej sprawie w prasie paryskiej, publikując energiczny artykuł w „*Liberté*" p. t. *Permettrons-nous d'assassiner l'Ambassadeur de Pologne?*

*

Henri Bordeaux, członek Akademji Francuskiej, który ostatnio prezydował przy inauguracji muzeum wielkiego pisarza francuskiego Barbey d'Aurevilly w Saint-Sauveur-le-Vicomte, poświęca mu teraz bardzo piękną pracę, którą zatytułował: „*Le Walter Scott Normand — Barbey d'Aurevilly*". (Plon Nourrit Edit.). Henri Bordeaux z głębokiem zrozumieniem dumnej duszy wielkiego pana normandzkiego, jakim był d'Aurevilly, definjuje psychologję i talent znakomitego pisarza, podkreślając przytem, że za życia cieszył się on chwałą bez powodzenia. Barbey d'Aurevilly, jak wiadomo, żył w biedzie, zarabiając marnie na życie artykułami, pisanemi z ogromną werwą, wywołującemi ostre polemiki, jak np. zdanie z artykułu, cytowanego w książce Henri Bordeaux, napisane po zamachu stanu Napoleona III: „*Toute force qui sauve la Nation de l'anarchie est un fait de l'ordre divin*". Książka ta zainteresuje niechybnie wszystkich admiratorów autora *Diaboliques i Chevalier de Touches*.

*

Danier Parêge, autor „*Et nous... marins*", napisał obecnie książkę „*Les Revenants Chroniques de l'ancienne marine*". Temat jest bardzo na czasie, bowiem liczni pisarze współcześni wprowadzili do swych utworów element życia marynarzy oraz opisy wypraw korsarskich. Pierre Loti, odczytawszy manuskrypt Danier Parêge, miał mu napisać: „To takie proste, prawdziwe, chwytające za serce i wzruszające dlatego właśnie, że prawdziwe... Dla nas, marynarzy, byłoby wielką krzywdą nie ogłoszenie drukiem tych małych arcydzieł".

*

Pierre Mac Orlan, jeden z najciekawszych pisarzy obecnej generacji, wydał u Simon Kra „*Images sur la Tamise*". Mac Orlan z początkiem b. r. jeździł do Włoch i Anglji i opublikował na ten temat szereg artykułów w „*L'Intransigeant*". Część ich weszła do ostatniej jego książki, która zawiera barwne obrazy rozmaitych zakątków Londynu i rzuca charakterystyczne światło na współczesną umysłowość angielską i na te typy, które Mac Orlan trafnie określa, jak „*collectionneurs de malaises*". Obecna sytuacja nasuwa mu ciekawe zdanie: „Praktyczny patrjotyzm isnieje tylko w równowadze sił jednostek. Od czasu wojny 1914 r. patrjotyzm najwyżej umysłowo stojących narodów Europy... skłonił się ku przejawom uczucia najbardziej intymnym, ku prowincji"...

AD REM...

„POD ZŁAMANYM ZĘBEM MĄDROŚCI"

Utarło się przysłowie, że papier jest cierpliwy... Atoli obserwacja przejawów życia współczesnego udawadnia nawet krótkowidzom, iż życie bywa cierpliwsze od papieru. Na rozpanoszonych po wojnie „zawodowców bez zawodu" zwracaliśmy już uwagę w rubryce niniejszej. Obecnie zasygnalizować zamierzamy charakterystyczny fakt, który, — choć napozór papierowy, — ma jednak niepokojące znaczenie życiowe.

Oto poważna firma wydawnicza F. Hoesicka (oddana, jak wiadomo, oddawna w inne ręce) przysporzyła światu edycję nowel p. Mieczyslawa Guranowskiego p. t. „Ofiara Krwi". Otworzywszy tę książkę na chybił-trafił, czytamy na str. 116: „Ruggiero... myślał o Biancheccie. Jej głowa złota o naturalnym połysku miedzi, jej oczy o barwie aqua marina, jej usta rozwarte, jak kruże nenufarów, jej szyja biała, wygięta jak cięciwa, a nadewszystko grudy piersi, wzniesione jak wydmy koralowe na dnie morza — czyniły ją podobną do obrazu Giotta".

Na str. 119 znajdujemy marzenie owego Ruggiera, już nie o lubej, lecz o sobie samym: „śniło mu się, że był królem, królem z pianki morskiej... Zbliżali się do niego dworzanie w służalczych pokłonach, lecz spojrzawszy w jego twarz z pianki umierali ze śmiechu".

Dalej dowiadujemy się, iż Ruggiero, zakochany idealnie w Biancheccie udał się po ukojenie do... lupanaru „Pod Złamanym Zębem Mądrości". Przy wyprawie tej pomagał mu fryzjer Niccolo, przemawiając do „kruczych kędziorów" bohatera w ten sposób: „Ty Przekorku, luby nicponiu, uśmiechaj się filuternie, a ty, Lubasku, serca pogrążaj, a ty, Nieśmiałku, ukryj się skromnie pod beretem. Ale zaczekaj! Kiedy po dziesiątej kruży beret potoczy się na posłanie z fijołków, piękna signorita ochrzci cię mianem Śmiałka-Ladaco". (str. 130).

„Piękny, jak młody bóg" pojechał Ruggiero do spelunki w towarzystwie bankiera, mającego zapewne przejażdżkę sfinansować. „Zapach zieleni wilgotnej od rosy pobudzał do marzeń. Każdego inaczej: Bankier snuł frywolne wizje o rozkoszach oberży pod Złamanym Zębem Mądrości, zaś poeta myślał o duchessie..." (str. 135).

Melancholja towarzyszyła temu poecie nawet pod „Zębem". Dopiero wtedy się rozruszał, gdy mu na kolanach usiadła dziewczyna, której „pierś, — wyrastająca z mchów jagoda, — napraszała się pocałunku..."

Po tej jagódce, spożytej przy cytowaniu Pythagorasa, wrócił Ruggiero do swej „duchessy", której cytowył podczas idealniejszych już pieszczot Danta i... Ewangelję!! Zestawienie to winno zainteresować lekarzy Freudystów!

Koniec końcem Ruggiero nigdy już pod „Ząb Złamany" nie wrócił, otruł go bowiem w beczułce wina zazdrosny „duc", stwierdziwszy iż na portretowanej piersi „duchessy" wielbiciel Giotta „znamię zbyt podkreślił sepią, zablisko mu się przypatrywał..."

Zdystansowana „Trędowata" zbladła, autor „Zdrady Bianchetty" prześcignął ją o sto długości bezsensu. W zbiorku jego znajduje się bowiem jeszcze wspanialsze arcydzieło o wiecznie młodym mizantropie Tryfonjuszu, który przez lat 40 oddawał się na odludziu marzeniem o dziewicach, a „był zbyt leniwy, żeby do waru rybnego dosypać soli". Zato „godzinami rwał bukiety żywego kwiecia" i wołał podczas nocy: „O, pójdź w moje ramiona najpiękniejsza z Hesperyd... Nie *użrzysz* w mym domku ni pereł, ni złota, lecz zato tors mój podobny do rumaka Troi i nim cię ukryję; lecz zato nogi moje potężne jak Appollina w Rodusie, i jako między uda jego wpływały okręty, tak i ty, luba, żaglami twych piersi zawiniesz do portu..." (str. 76).

Autor Tryfonjusza i Bianchetty czeka na swoją Magdalenę Samozwaniec. Nim to nastąpi, niepodobna zwlekać z doraźnem podciągnięciem do odpowiedzialności moralnej szerzycieli podobnej literatury. Żyjemy w czasach, gdy utalentowani poeci nie wstydzą się podpisywać pełnem nazwiskiem zbiorów brukowych „witzów" żydowskich, gdy na każdym rogu ulicy w biały dzień sprzedawano ohydy, zdolne zarumienić ćmę nocną, gdy wytworni literaci i krytycy odważają się w sekretnych prospektach zapowiadać „Dostojne Świństwa" dla znawców, dyrekcje scen popularnych walczą o popularyzowanie dzieł moralnie nihilistycznych dla pół-oświeconych mas, a głos anonimowych publicystów nawołuje do wystawienia każdego utworu, byle był podpisany głośnem nazwiskiem, chociaż wiadomo im, że nawet

najprzedniejszym talentom zdarzało się pisywać rzeczy poronione, których niebaczne ujawnienie szkodzić może zarówno publiczności jak autorom... W takich czasach nie wolno puszczać płazem niepoczytalności, jeżeli spekulują na jej ewentualną poczytność nawet t. zw. podpory społeczeństwa. Należy postawić mocną tamę wszelkim objawom grafomaństwa, czy to chronicznego, czy chwilowego, inaczej najmłodszym kulturalnie warstwom zagrażać będzie zwyrodnienie etyczne „Pod Złamanym Zębem Mądrości“, który urasta do wyżyn karykaturalnego symbolu.

TADEUSZ ROZWORA

TEATR

„ACHILLEIS“ WYSPIAŃSKIEGO

Po dwudziestu paru latach spoczywania w książce, poemat dramatyczny Stanisława Wyspiańskiego „Achilleis“ ukazał się na scenie. Podjął się tego dzieła teatr im. Bogusławskiego w Warszawie; inscenizował p. Schiller. W szaty malarskie przyoblekli Wyspiańskiego malarze „przyszłości“ Andrzej i Zbigniew Pronaszkowie. Muzyczność poematu zilustrował Lucjan Marczewski, taneczność — T. Wysocka.

Szeroki ogół, dla którego teatr Bogusławskiego jest przeznaczony, nie zna „Achilleidy“ z książki, jest ona bowiem rzadkością bibljograficzną, nie zna też „Iljady“ Homera. Nie można więc było liczyć, żeby przedstawienie stało się artystycznem świętem, zespalającem scenę z publicznością. Dzieło Wyspiańskiego powinno być scenicznie wypróbowane przez ludzi i dla ludzi z klasycznem wykształceniem, może pod gołem niebem na jakiejś uroczystości uniwersyteckiej. W teatrze popularnym powinno było przynajmniej być poprzedzone porządnym wykładem literackim. Nie byłoby na to czasu? Nie było potrzeby wystawiać całości, bo przecież i tak ona się nie zmieściła. Wszystkie bowiem sceny okaleczono w tekstach.

Nad teatrem zawisła atmosfera przymusu. Nie tylko ogół publiczności zrzekł się klasycyzmu, ale i aktor; nie tylko aktor, ale i reżyser. Któż miał sugerować nastrój klasyczny, kto miał obudzić w śpiących wizję historyczną Wyspiańskiego, która dla niego była jawą?

W Wyspiańskim dokonywał się w formach artystycznych cud psychiki narodowej, wyhodowanej na tradycjach klasycznych Rzymu i Hellady. Poprzez legendę osobistą, poprzez legendę polską Wawelu, wstecz, wstecz szedł wzrok jego ducha w legendę słonecznej starej Grecji, aż oparł się o Homera. Odżyła w jego duszy krakowskiej nietylko dusza Polski, która go na świat wydała, ale ta znów wciągnęła z sobą motywy kultury, która była jej wychowawczynią. Zlały się te promienie w jedno i powstawał ten dziw obrazu poetyckiego z postaciami chłopa bronowickiego i Piasta, spiskowców Nocy Listopadowej, Bolesława Śmiałego, Kazimierza Wielkiego, wreszcie z cieniami bohaterów greckich. A wszyscy, czy Król, czy Achilles są płowi i przywdziewają na się szaty chłopa polskiego; wszyscy żyją dziś w Polsce, jako przywidzenie, marzenie duszy polskiej.

Inscenizator legendy Wyspiańskiego musi być sam tego typu poetą, co Wyspiański. Innego odtwórcę, który w psychologję poety wejść nie może, czy nie chce, krytyka nie rozgrzeszy. Pan Schiller oddał Wyspiańskiego pp. Pronaszkom. Całe przedstawienie „Achilleidy“ to jedno pasmo zmagań się Wyspiańskiego z Pronaszkami. Oczywiście — siła złego na jednego — uległ. Podziwiać należy w tym teatrze brak intuicji poetyckiej, zdolnej wczuć się w duszę takiego poety, jak Wyspiański. Skoro ona cała podaje się legendzie w zmierzchy przeszłości i tworzy słowo w typie *perfectum praesens*, to nie można jej dawać na żer futurystom, którzy zgadują jakieś przyszłe formy. Niechby pp. Pronaszkowie gdzieindziej eksperymentowali, czy może coś mieć wyraz artystyczny, co nie było przeżyte, ale Wyspiańskiego powinni byli zostawić tym, którzy czują psychologję legendy.

Ten typ artystycznych nowatorów, który się zagnieździł w teatrze Bogusławskiego, jest psychologiczną przeciwstawnością wszystkiego, co się opiera na widzeniu poetyckiem legendy. „Achilleis“ p. Schillera, to wewnętrzna sprzeczność tam, gdzie miało być uzupełnienie poety, to Wyspiański pod włos czesany.

Tapicerska koncepcja watowanego namiotu greckiego, pstrokatość tektury na rycerzach — to może osobista przyjemność inscenizatorów, ale męka dla publiczności, mającej przecież w sobie coś krewnego Wyspiańskiemu. Przytłumiono w ten sposób poezję, a to, co wysunięto na front — to malatura, tektura, fryzura — tortura! Doszliśmy szczęśliwie do ładu z tapetami mieszkań, że nie wywołują szaleństwa ptaki i koła na ścianach. A tu w przybytku sztuki oczy trzeba zasłaniać od apokaliptycznych znaków niemiłych i niezrozumiałych, budzących niepokój aż do migreny. Nie jest to poetycka wizja naszych tęsknot do Hellady. Jakby nie było wzorów krakowskich, w jaki sposób sam Wyspiański wystawiał Laodamję!

Ludziom, którzy galopują w przyszłość sztuki na futurystycznej wzgardzie do form, zidealizowanych w tradycji, grozi zawsze brak smaku. Gdyby np. p. Zelwerowicz nie myślał, że piękno od niego się zaczyna, toby oszczędził publiczności widoku swego gołego ciała. Tersytes, jeśli wogóle Wyspiański chciał go widzieć naturalistycznie, był opalony od słońca — nieprawda? Dlatego nie chodzi się do łaźni, aby nie widzieć obwisłych, niebieskawo-zgniłych ciał mieszczuchów, nie widujących słońca, ani miesiąca. Po to mam chodzić do teatru, żeby to oglądać? Nagość w sztuce usprawiedliwia się pięknem, tutaj poufałość desabilu niczem się nie tłumaczy, jak tylko brakiem dobrego smaku. Trochę stylizacji i ciała, i słowa, i gestu nie zawadzi w sztuce nawet rewolucjoniście.

Zbyt wielki nacisk na stronę zewnętrzną widowiska, zwłaszcza usiłowanie oślepienia widza, przeszkadza sztuce. Bądź co bądź przychodzi się po słowo poetyckie. W teatrze im. Bogusławskiego ambicje poetyckie są, jak widać, na drugim planie. Boy w przedmowie do ostatniego tomu swych krytyk przytacza z uznaniem opinję Curela (1897), że przesada w dekoracjach jest szkodliwa dla sztuki: „To nie jest zdobycz, to epidemja, która zawsze zabija teatry“. Mickiewicz w wykładach paryskich (4.IV.1843) powołuje się na autora niemieckiego Tiecka, że „przepych teatralny, a mianowicie wysadzanie się na dekoracje, oznacza upadek dramatu“. Mickiewicz doradza poetom, aby „zrzekli się chętki widzenia wystawy sztuk swoich“. To pewna, że Wyspiański nie oddałby „Achilleidy“ na eksperyment dekoracyjny pp. Pronaszkom, Shillerowi i Zelwerowiczowi. Sam zresztą nie próbował wystawiać tego poematu.

Aktorzy, a był ich tłum mnogi, dokonali wysiłku dużego, grając starannie, jak się zdaje, bez suflera rzecz bardzo trudną i długą. Należy się im za to uznanie. Na czoło zespołu niewieściego (Kuncewiczówna, Gromnicka, Hałacińska, Romanówna, Borzewska i in.) wysunęła się p. Irena Solska jako Hipodamia. Achilles p. Strachockiego wypadł szlachetnie, ale nie mógł skupić na sobie całego światła poezji, które inscenizacja rozproszyła.

Z. W.

*

W teatrze Letnim wystawiono z wielkiem powodzeniem komedję francuską Geraldy'ego „Gdybym chciała“ w przekładzie Stefana Godlewskiego. Nie otrzymaliśmy zaproszenia na tę premjerę, nie możemy więc jej oceniać, zanotować jednak trzeba, że jednogłośnie krytyka pochwaliła reżyserję p. Leszczyńskiego i grę artystów.

Rzadko się zdarza, żeby zwrócono uwagę na przekład. W tym wypadku podniesiono z uznaniem wartość spolszczenia. Tłumacz znany jest czytelnikom „Myśli Narodowej“ z nowel, które ogłosiliśmy.

NA MARGINESIE

„Było już szaro, gdy pociąg stanął na stacji w Sulejówku. Z wagonów wysypały się głównie gromady oficerów, ruszając *zwartym tłumem, ramię przy ramieniu wąską ścieżką* śród pól ku gościnnie otwartemu dla każdego żołnierza domowi Pierwszego Marszałka Polski". Tak opisuje „Kurjer Poranny" (z 16 list.) zeszłoniedzielny „hołd armji", złożony „Wielkiemu Więźniowi Magdeburskiemu". „Armja" nie musiała być widocznie zbyt liczna, skoro postępując „zwartym tłumem, ramię przy ramieniu" potrafiła się jednak pomieścić na „wąskiej ścieżce śród pól"...

*

Podobno niektóre stronnictwa sejmowe odmówiły wejścia do gabinetu koalicyjnego z tej racji, że ich członkowie po przyjacielskiej rozmowie pod cyrkiem podczas wiecu służby folwarcznej dostali silnego bólu głów, które dotychczas muszą być obwiązane.

*

Pisma donoszą, że p. Thugutt wystąpił do Sejmu z wnioskiem zmniejszenia liczby uniwersytetów. Oto, co znaczy być właściwym człowiekiem na właściwem miejscu. Bo jeśli kto, to niewątpliwie p. T., który nie skosztowawszy nauki uniwersyteckiej, był dwukrotnie ministrem i jest prezesem klubu politycznego, ma najsłuszniejsze prawo twierdzić, że wyższe zakłady naukowe są zupełnie zbyteczne.

*

W anonimowych rozważaniach o „Achilleidzie" Wyspiańskiego (Wiad. Lit. № 46) spotykamy następującą, niesłychanie charakterystyczną definicję ojczyzny:

„Żaden z nich (to znaczy ani Hektor, ani Achilles) nie broni ojczystego śmietnika, dla którego obaj tylko gniew mają i pogardę, ale jeden i drugi walczy o ojczyznę swoją, będącą dla *każdego* z nich (wielu ich było? — przyp. nasz) kolebką nowego ducha, gdzie wstanie nowe pokolenie, nie w odyssowem czy tersytowem powodzeniu, ale w bijącem w niebo „spłomienianiu ducha".

Anonimowość rozważań dorasta do znaczenia symbolu. Z mgieł tej definicji rzeczywiście wyziera anonim.

*

P. Antoni Słonimski, sprawozdawca filmowy „Wiadomości Literackich", pisząc o „Iwonce", wpada chwilami w pasję. Nic go tak nie irytuje, jak sympatja, którą społeczeństwo nasze darzy żołnierza.

„Publiczność grała niegorzej od aktorów, oklaskując najgłupsze momenty. Zwłaszcza drażniące jest bezmyślne bicie brawa na widok czapki wojskowej".

Tym razem musimy się ująć za zwymyślaną publicznością. Irytacja p. Słonimskiego wygląda nieładnie. Pomijamy już to, że wojsko jest jednym z najistotniejszych atrybutów udzielności państwowej, a Polacy, jak wiadomo, zawsze byli na tą udzielność szczególnie wrażliwi. Wojsko ma wpływ magiczny na wyobraźnię Polaka — to może irytować, ale z tem liczą się realnie nawet nasi nieprzyjaciele. Więc oklaski sali, gdy na ekranie zjawi się żołnierz? To takie proste! Z pośród tych, co klaskali, jednym żywo stanęła przed oczyma ich własna przeszłość wojskowa, starsi panowie mieli niewątpliwie na myśli swoich synów. Klaskały i kobiety: matki, siostry, żony, narzeczone. Był to zatem odruch uczuciowy. Społeczeństwo jest blizkim krewniakiem swej armji.

Czy w p. Słonimskim wojsko żadnych uczuć, żadnych wspomnień nie budzi? Wspomnień osobistych, albo rodzinnych?

*

Ładna historja! Otrzymaliśmy z Torunia w opasce trzy pierwsze numery założonego tam pisma „Poranny Kurjer Pomorski". W odezwie od wydawnictwa wiele się obiecuje czytelnikom pod przysięgą, „że jedynym celem pisma jest dobro naszej ukochanej Ojczyzny Polski". Ten pierwszy numer nosi datę 1 października. Drugi numer nosi datę 1 listopada. Tknęło nas złe przeczucie — skąd ta przerwa? Początek wstępnego artykułu: „W zaraniu naszego wydawnictwa spotkał nas cios niespodziewany. Redaktora naszego naczelnego i odpowiedzialnego zarazem p. Karola Szawczyńskiego uwięziono — naszem zdaniem bezpodstawnie — i niestety trzeci tydzień już trzyma się go bezpodstawnie we więzieniu śledczem"... Ale to nic — kończy się artykuł — pracować będziemy dalej, „ze wzrokiem utkwionym w przyszłość, aby dobrze było w Polsce". Żadnego zresztą wyjaśnienia w całym numerze. Dopiero w 3-m z 29 listopada sam redaktor, już wypuszczony, szeroko się rozpisuje o swej przygodzie. Aresztowano go za oszustwo, ale to nie było oszustwo, tylko sprzedaż reklamowa. Każdy co przysłał 7 zł., miał potem dostac „komplet" pięknych rzeczy. Redaktor nie zdążył rozesłać kompletów, bo go aresztowano. Ale on pokaże przodownikowi policji, on pokaże łotrom Migdalskiemu i in., jak to nieładnie jest oskarżać i aresztować! On dowiedzie, że tamci są włamywacze, oszuści i t. p. A pod koniec rozrzewniony pisze: „Nie twierdzę, że jestem świętym, lub czystym jak, łza. Takiego człowieka niema bowiem na całym świecie! Zdaje mi się wszak, że nie jestem o nic gorszy od sławetnej trójcy moich wrogów, z których każdy ma na sumieniu dziesięć razy więcej i stokroć cięższych przewinień niż ja".

Czy nie należałoby jednak obostrzyć przepisów prasowych, aby nie każdy miał prawo zbawiać „ukochaną Polskę"?

*

NOWE KSIĄŻKI

Stanisław Pieńkowski. Maski życia. Warszawa 1926, Perzyński, Niklewicz i Sp. Str. 160 w dużej 8-ce.

Adolf Suligowski. Jak wzmocnić polską organizację państwową? Warszawa 1925. Gebethner i Wolff. Str. 87.

Jan Lutosławski, Kartki z podróży do Anglji. Z ilustr. Warszawa 1925. Księg. Rolnicza. Str. XII i 252,

Miecz. Orłowicz. Ilustr. przewodnik po Lwowie. Wyd. II podwojone. Warszawa 1925. Książ.-Atlas.

Wł. Natanson. i Kon. Zakrzewski. Nauka fizyki. Podręcznik, Zesz. II, tom III. Gebethner i Wolff.

S. Kwiatkowski. Uwagi o ustroju szkolnictwa ogólnokształcącego. Warszawa 1925. Książ.-Atlas.

V. Blasco-Ibanez. Ziemia zdobywców. Powieść 2 tomy. „Bibljoteka Dzieł Wyborowych".

Przegląd Powszechny, Kraków, listopad 1925.

Przegląd Polityczny. Warszawa. 1825, t. III, zesz. 4.

Literaturno-naukowyj Wistnik. Lwów 1925. Rocznik 24 (t. 88), zeszyt 11.

KRONIKA OGÓLNA

SPRAWY WEWNĘTRZNE

Rząd p. Władysława Grabskiego podał się do dymisji. Bezpośrednio po przyjęciu dymisji przez Prezydenta Rzpltej zastępstwo p. Wł. Grabskiego, jako premjera, objął min. spraw wewn. Raczkiewicz, zaś jako min. skarbu—min. przem. i handlu p. Klarner.

Prezydent Rzeczypospolitej powierzył misję tworzenia nowego gabinetu dotychczasowemu ministrowi spraw zagranicznych p. Aleksandrowi Skrzynskiemu.

Bilans handlowy Polski wykazuje, iż wywóz z Polski wynosił w październiku 131.05 miljonów złotych, zaś przywóz do Polski — 80 miljonów złotych.

W Gdańsku odbył się „Dzień Polski-katolicki". który zamienił się w potężną manifestację polskiej ludności gdańskiej.

W Bydgoszczy odbył się zjazd prasy pomorskiej.

P. Emil Szmidt, dyrektor izby skarbowej w Poznaniu, mianowany został prezesem P. K. O.

SPRAWY ZAGRANICZNE

Konferencja Ambasadorów wyznaczyła ewakuację strefy Kolonji na 1 grudnia r. b.

Na posiedzeniu rządu Rzeszy Niemieckiej, które odbyło się pod przewodnictwem Hindenburga, postanowiono zażądać od parlamentu pełnomocnictwa dla podpisania układu z Locarno i wstąpienia Niemiec do Ligi Narodów.

Do Rumunji udała się wycieczka parlamentarzystów polskich. Zgotowano jej nader serdeczne przyjęcie zarówno ze strony sfer oficjalnych jak i społeczeństwa.

Z Nowego Yorku nadeszła wiadomość o uzyskaniu przez Polskę drugiej raty t. zw. pożyczki Dillona w wysokości 22 i pół miljona dolarów.

Wybory do parlamentu Czechosłowacji wykazały pewne zmniejszenie się wpływów dotychczasowej koalicji stronnictw rządowych, zapewniają jej jednak ponownie większość w parlamencie. Komuniści zdobyli kilka nowych mandatów.

Włoska Rada Ministrów przyjęła projekt ustawy o nadzwyczajnych pełnomocnictwach dla premjera Mussoliniego.

Nacjonalista francuski Leon Daudet skazany został na 5 miesięcy więzienia; proces wytoczył przeciw niemu szofer Bajot, któremu Daudet zarzucał współudział w zamordowaniu syna swego Filipa.

KRONIKA ŻAŁOBNA

Zmarł w Warszawie znakomity kompozytor polski, twórca „Marji" i „Filenis" ś. p. prof. Roman Statkowski.

WYDAWNICTWO „MYŚLI NARODOWEJ" uprasza Sz. Czytelników, aby zechcieli jaknajprędzej uregulować należność za kw. IV i zamówili prenumeratę na kw. I 1926 r.

ZWRACAMY UWAGĘ, że w jednym z poprzednich zeszytów wskutek przestawienia cyfr mylnie wydrukowano nr. konta czekowego na P. K. O. Jest to nr. 1.305. Prosimy o sprostowanie, kto mylnie adresował.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-ie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. **8**, rocznie zł. **30**, za granicą kwart. zł. **12**. Konto czekowe na P. K. O. **3.105**.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.
Druk. „A. Michalski“, sp. z o. o., Warszawa, Chmielna 27. Telefon 27-15.